Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 21. Marca 1880 r. **Tom X.**



Nr. 12.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

W KWESTJI ŻYDOWSKIEJ.

III.

Że taka walka o byt, zwłaszcza jeżeli o elementarne potrzeby życia się toczy, wyradza pewne odrębne zapatrywania, które u narodu izolowanego pod względem społecznym stać się muszą właściwością rasy, to jest objawem równie naturalnym jak okoliczność, że każde zajęcie, każdy zawód wyradza u jednostek cechy charakterystyczne, a tem samem społeczeństwo, które przeważnie w jednym lub drugim kierunku jest czynne, nabiera przymiotów i wad, z tem zajęciem w ścisłym stojących związku. Jeżeli Rzymianin za czasów rozkwitu państwa rzymskiego żył, myślał i czuł zupełnie inaczej jak Fenicjanin, który w twardym i żmudnym zawodzie kupieckim wyrobił sobie odmienne od tamtego zapatrywania i pojęcia, to jużciż szlachta polska do rycerskiego i wojennego zaprawiona rzemiosła i do gleby swej przywiązany lud polski z jednej, a żydzi z drugiej strony, musieli się co raz więcej od siebie oddalać, a to tembardziej, ile że ten przedział był nie tylko różnicą zatrudnień umotywowany, ale różnicą wyznań podtrzymywany. Narzecze, które sobie żydzi z przywiezionego z Niemiec języka niemieckiego, z wyrazów hebrajskich i polskich wytworzyli, dopomogło jeszcze do odosobnienia tego szczepu od narodu polskiego, a konserwatyzm, który u narodów pozbawionych samoistności politycznej, w religji zazwyczaj ostatnią swoją znajduje kryjówkę, zawładnął i włada niestety po dziś dzień żydami potężniej, niżby to dla ułożenia stosunku żydów do chrześcian było pożądane.

Jednak i pojęcia o politycznej doniosłości tej władzy kierującej żydami, należy do właściwej zredukować miary.

Słyszymy często, że żydzi prowadzą przeciw społeczeństwu walkę zażartą, zorganizowaną, dobrze obmyślaną, i że pobudzani są do niej przez przepisy religijne zawarte w Talmudzie, że więc nieprzyjaźń w obec innych wyznań jest dla nich rodzajem kultu. Są to zapatrywania przesadne i nieprawdziwe. Ten i ów cytat wyrwany z Talmudu, tchnący rzeczywiście nieprzyjaźnią a nawet nienawiścią, niczego nie dowodzi; wszak nie ma prawie wyznania, w którego pisanych podstawach nie byłoby cierpkich i nietolerancją tchnących wycieczek przeciw innowiercom. Kto jednak bez uprzedzenia na te pisane przykazania spogląda, ten wie, jaką one wszystkie tak dodatnie jak i ujemne, tak te, które miłość bliźniego jako najwyższy dogmat uznają, jak niemniej i te, które choć nie zawsze wyraźnie w przeciwnym idą kierunku, w praktycznem życiu mają wartość. I rzeczywiście, ktoby dzisiaj chciał twierdzić, że żydzi kupcząc, układając się lub współzawodnicząc z chrześcianinami, powodują się innemi zasadami jak kupcząc lub konkurując między sobą, ten chyba rzeczywistego stanu rzeczy nie zna, albo znać nie chce. Dość jest — jeżeli do poziomych ale charakterystycznych przykładów zejść trzeba — przypatrzyć się pierwszej lepszej licytacji, aby się przekonać, z jaką żarliwością i zapamiętałością wyrywają sobie żydzi drobne spodziewane chociaż zawsze prawie wątpliwe zyski. Że tu i ówdzie następuje między nimi porozumienie, że żydzi z żydami łatwiej jak z innymi tworzą spółki, toć to ostatecznie jest naturalnym wynikiem wspólności szczepowej, zupełnie tak samo jak Niemiec z Niemcem chociażby innego szczepu, łatwiej się porozumi i do wspólnego złączy dzieła, aniżeli z Francuzem lub Polakiem. Nie trzeba na to ani przepisów Talmudu, ani poczucia solidarności wyznaniowej — wspólność interesu, zupełnie tu wystarcza. Wszystkie te objawy powtarzają się prawie w zupełności wszędzie, gdzie różniące się chociażby tylko w podrzędnych cechach szczepy obok siebie mieszkają. Powtarzają się one tak samo, nawet na większe rozmiary, na wschodzie, mianowicie w Turcji Europejskiej z tą różnicą, że tam funkcję naszych żydów spełniają — Ormianie. Oni to tworzą wyłącznie między sobą spółki do przeprowadzania wielkich i zyskownych interesów i są dzisiaj tam w posiadaniu całego prawie handlu, a jednak nikt nie zechce twierdzić, iż czynią to z powodu religijnych przykazań.

Niezaprzeczoną jest prawdą, że wyłączne zajmowanie się handlem lub sprawami z nim spokrewnionemi nie uszlachetnia narodu, dlatego chcąc charakter żydowski należycie poznać, chcąc mieć możliwość osądzenia, co z żydów w danych korzystnych warunkach, zrobić można, trzeba się dokładnie przypatrzyć tym z nich, którzy odrywając się od ogółu żydowskiego, zabierają się do wykonywania innych zawodów, do których nie wnoszą pewnej przez generacje wyrobionej, a zatem już jakby przyrodzonej zdolności i przewagi, lecz muszą sobie zdolność i stanowisko na równi z innymi zdobywać.

Do nauk, sztuk i rękodzieł, żydzi w Polsce — jak twierdzą — nie okazywali wiele skłonności, ale też wykonywanie tychże było im tak utrudnione, że trudno dzisiaj skonstatować, co było przyczyną a co skutkiem. W ostatnich czasach przynajmniej, kiedy odwieczne ustały ograniczenia i upadły zapory — widzimy żydów czynnych we wszystkich prawie gałęziach wiedzy i umiejętności, a sądząc bezstronnie, trzeba przyznać, że pracują sumiennie, a niektórzy z nich z dobrym dla kraju pożytkiem — przyczem nie wolno nam zapominać, że i ci muszą zwalczać uprzedzenie niestety zbyt jeszcze powszechne, a przez żydów bardziej może, niż przez innych odczuwane.

To uprzedzenie, którego w obec tej kategorji żydów pozbyć się nie możemy, mimo uznawania ich zalet, mimo nawet tego, iż czasem z nim taić się musimy, to uprzedzenie, które się w naszem postępowaniu i zachowaniu zdradza — jest właśnie jednym z najkardynalniejszych błędów, jaki w tej kwestji popełniamy — jest jedną z najgłówniejszych przeszkód do należytego i zdrowego rozwiązania naszej „kwestji żydowskiej.“

Dlaczego do tej okoliczności tak wielką przypisujemy wagę, w następnym powiemy rozdziale.

DZIWNE KARJERY
POWIEŚĆ
Jana Lama.

(*Ciąg dalszy.*)

Położenie *Orędowniczki* było w istocie świetne pod względem materjalnym — pieniędzy nigdy nie zabrakło w kasie. Dzięki niezmordowanym usiłowaniom Stanisława, który pracował dniem i nocą, pismo przybrało pewien zakrój inteligentny, do tego stopnia, że *Rak*, który dotychczas zbywał wycieczki pism wilkowskich przeciw partji sokołowskiej lekceważącemi wzmiankami w tej samej rubryce, w której donosił o narodzeniu się cieląt z dwiema głowami, o pomyłkach urzędu telegraficznego i innych monstrualnościach tego rodzaju, obecnie uważał za stosowne polemizować na serjo z organem »redagowanym« przez dr. Mitręgę — zwłaszcza gdy stosunek tego ostatniego z hr. Skirgiełłą nie był tajemnicą, i gdy grandowie sokołowscy poczęli z obawą zapytywać jeden drugiego, czyli w istocie nie zorganizowała się jaka partja grandów i hidalgów wilkowskich, gotowa wyrugować ich najpierw z łaski opinji publicznej, a następnie, z oberkomisarjatu i oberszpitalnictwa.

Na nieszczęście, jeżeli istniała taka partja, to dotychczas nie objawiła niczem swojego istnienia. Postawienie kandydatury majora Bombogromskiego na ambasadora do Krachenburga, odpowiadało wprawdzie programowi *Orędowniczki*, ale było ono raczej dziełem Kosturskiego i Pałkiewicza, niż nowej partji. Wiemy nawet, że nazwisko Bombogromskiego nie koniecznie było sympatycznem hr. Albinowi. Stało się tedy tak, że polując na grubego zwierza w górach Monomotapa, potomek Palemonów ubił jednego dnia dwa olbrzymie odyńce i młodego niedźwiadka, a wróciwszy w doskonałym humorze do swego zamku, przejrzał nadesłane mu ostatnie numera *Orędowniczki* i znalazł w nich upodobanie.

Wskutek tego napisał list do dr. Mitręgi, wyrażający mu uznanie jego tryumfów literackich.

Nazajutrz atoli ruszono w debrach starego niedźwiedzia, którego myśliwi rozdrażnili niedość celnemi a jednak bolesnemi strzałami, zupełnie tak jak w polemice przytyk humorystyczny drażni tylko, ale nie zabija. Niedźwiedź, poczęstowawszy łapą borowego po siermiędze i poszarpawszy kilka psów, drapnął w najnieprzystępniejszą stronę gór — hr. Albin podążył za nim, przez jary, skały i dzikie zarośla.

W tej pogoni pozbył się najpierw torby z amunicją, kordelasa, i rewolweru. Następnie, z powodu gorąca, zdjął i cisnął w krzaki kurtkę myśliwską, dobrze już poszarpaną wśród pogoni. Następnie, zgubił nakrycie głowy. Następnie upadł, zawadziwszy nogą o korzeń, i przy tej sposobności wypaliła jedna lufka dubeltowego sztućca, ta właśnie, która była nabita kulą.

Nakoniec, po trzech godzinach tego szalonego pędu, hr. Albin znalazł się na cyplu nagiej skały, zmęczony, zgrzany, podrapany, z bronią, w której był tylko nabój lotek — a przed nim, po za głębokim parowem i szumiącym strumieniem górskim, na podobniusieńkiej skale, zatrzymał się o sto kroków niedźwiedź.

Strzelec hrabiego, którego uprzejmości zawdzięczam wiadomość tych wszystkich szczegółów, nie umiał mi powiedzieć, jakie były uczucia niedźwiedzia w tej chwili tak ważnej — jak się później pokazało, dla wyborów wilkowskich. To pewna, że kiedy hrabia wypalił do niego, i trafił go niezawodnie, okazał się zupełnie nieczułym na lotki, które go obsypały — usiłował tylko zbliżyć się do przeciwnika, ale topografia terenu czyniła to niepodobnem, nawet dla niedźwiedziej gimnastyki. Pan Albin ze swojej strony usiłował przebyć parów i byłoby przyszło do pojedynku pugilystycznego między potomkiem dwudziestu pięciu pokoleń Palemonów-Skirgiełłów, a niedźwiedziem z gór Monomotapa, ale te same trudności terenu, które przeszkodziły zaczepnemu działaniu kudłatego syna borów, wzmacniały jego pozycję pod względem odpornym. Mruknął więc tylko coś zupełnie niezrozumiałego w języku niedźwiedzim, i zniknął w krzakach.

Nad wieczorem, po szczątkach odzieży i innych śladach, zostawionych po drodze, wierna służba odszukała hr. Albina, spoczywającego w jamie wypełnionej kilkoletnim śniegiem, pod chłodnem górskiem niebem, i tak zirytowanego niepowodzeniem łowów, że nie czuł nawet gwałtownego przeziębienia, na które się naraził.

Wróciwszy do domu z gorączką kataralną, hr. Albin spostrzegł na stole list, napisany do dr. Mitręgi, a nie wyprawiony jeszcze na pocztę z powodu, iż komunikacja między górami Monomotapa a Wilkowem nie jest codzienną. Z nudów, czy ze złości, hr. Skirgiełło rozdarł kopertę, przeczytał swoje pismo, wziął pióro do ręki i do wszystkich pochwał, któremi obsypywał dr. Mitręgę, dodał następujące:

»*Post-Scriptum:* Z tego wszystkiego atoli wynika, że Wilków wybierze Bombogromskiego — na prawdę, nie zły regimentarz: ani łacina, ani pierzyna, ani dziecina, ale coś jeszcze niedołężniejszego. Nie winszuję panu tego sukcesu. Za mało też *Orędowniczka* wytyka Rakowiczanom ich postępowanie — *połową tej energji, jaką obracamy na cele uboczne i drobiazgowe, możnaby wiekopomne zasługi oddać krajowi.*

»*A. S.*«

W istocie mniemam, jeżeli mi w ogóle wolno co »mniemać« z poziomego mojego powieściopisarskiego stanowiska — że *połową tej energii*, jaka np. ścigała właśnie w oczach naszych niedźwiedzia w górach Monomotapa, możnaby zwalczyć Rakowiczan, Oberkomisarjat, Oberszpitalnictwo, i wszystko, co jest złego w Milicji, w Chaocji, w Beocji i w Lapucie, zwłaszcza nie gubiąc po drodze amunicji i uważając na korzenie pod nogami, aby sztuciec nie wypalał bez potrzeby.

Dr. Mitręga otrzymał to pochwalne i naganne oraz pismo hr. Albina w godzinę po konferencji, jaką miał z gronem kilku celniejszych polityków miasta Wilkowa. Należał do nich najpierw sekretarz Kluszczyński. — Temu, nawiasem mówiąc, opowiedział dr. Mitręga cuda o poświęceniu się Stanisława dla sprawy publicznej, o heroizmie, z jakim tenże porzucił posadę rządową, o jego wielkich zdolnościach i o świetnej karjerze, jaka go czekała w zawodzie publicystycznym — któremu on, dr. Mitręga, poświęca się tylko tymczasowo, będąc z rodu i powołania posesjonatem ziemskim i mężem stanu, a nie pisarzem. P. Kluszczyński przejął się wielkiem uwielbieniem dla Wołodeckiego, i widział w nim przyszłego wyłącznego redaktora *Orędowniczki*, dyktatora opinii publicznej, przy którego pomocy sekretarz mógłby kiedyś władać w Wilkowie, jak Perykles władał w Atenach, tj. nie piastując żadnej posady, ale trzęsąc wszystkiemi posadami i całem miastem, i zabierając w kształcie lwiego udziału najlepszą cząstkę chwały i pożytku, jakieby wynikły z tego nowego porządku rzeczy. Nie twierdzę bynajmniej, by p. Kluszczyński w istocie w duchu pragnął *wyraźnie* zostać Peryklesem wilkowskim, owszem, nadmienić muszę, że egzystencja Peryklesa równie jak cała historja grecka była dla szanownego sekretarza faktem nieznanym, nie wchodzącym przeto w rachubę — rzecz sama atoli, bez nazwisk i bez paraleli historycznej, rysowała się dość dokładnie w jego umyśle. Z takich i podobnych Peryklesów *in spe* składało się mniej więcej całe owe grono polityków, o którem właśnie wspomniałem. Grono to, ochłonąwszy z pierwszego zapału, poczęło rozważać, że kandydatura majora Bombogromskiego jest w gruncie rzeczy tryumfem Pałkiewicza i znienawidzonego *Postępu*, tryumfem, w ślad za którym pójdą inne zwycięztwa Pałkiewiczów w inspektoracie targowym, w towarzystwie muzycznem, w kwestji jatek miejskich, w kwestji wystawy obrazów i dzieł rzeźby, w sprawie kopytkowego, w wydzierżawieniu propinacji, w dyrekcji teatru, w nadzorze szkół miejskich i w stowarzyszeniu spożywczem. Nieukontentowanie było tedy wielkie w całem »gronie«, i kiedy dr. Mitręga otrzymał list hr. Skirgiełły, miał już ucho przesycone skargami w tym samym kierunku, co pierwsza część przytoczonego powyżej *Post-Scriptum*. Postanowił tedy czemprędzej znieść się z »gronem«, i w tym celu rozkazał Marcinowi osiodłać czemprędzej Machiawela.

Stanisław siedział przy swoim stoliku w redakcji, przy oknie parterowem, wychodzącem na podwórze domu, w którym mieściła się cała *Orędowniczka* wraz ze swoją drukarnią. Pisał, korygował, i ani się domyślał, że w tejże samej chwili p. Kluszczyński śpiewał na jego cześć hymny pochwalne w swoim dworku, w obecności p. sekretarzowej i panny Natalji, hymny, które były tylko powtórzeniem tego, co słyszał od dr. Mitręgi. Wyłuszczał on im, że literatura i nauka sama przez się nie prowadzą do niczego i dobre są chyba na to, ażeby chodzić bez butów, równie jak belferstwo, ale że trochę literatury, trochę nauki i trochę belferstwa w po-

łączeniu z władzą nad codziennym arkuszem drukowanego papieru, otwierają dziś drogę do znaczenia i do majątku. Sekretarzowa słuchała tego wywodu z upodobaniem, i gładziła włosy panny Natalji, która udawała zupełną obojętność. Obojętność ta atoli była udaną, na stoliku bowiem koło panienki leżał wczorajszy numer *Orędowniczki*, w którym znaczony cyfrą *S. W.* znajdował się fejleton pod tytułem »Dworek na przedmieściu«. W fejletonie tym, i w dworku, jaśniała piękność, którą autor obarczył całą sumą doskonałości niewieściej, a raczej dziewiczej, i ku której wyciągał tęskne ramiona nieśmiałej, ale wielce poetycznej swej muzy. Była to melodyjna przygrywka do więcej esencjonalnych rzeczy, o których mówił sekretarz, i jedno z drugiem, tj. melodja i esencja, tak jakoś trafiało do serca panny Natalji, że pomieniony »S. W.« prezentował się u jego progu (bo serce musi mieć próg, skoro ma komórki) w nowej zupełnie i bardzo korzystnej postaci. Ale jak powiadam, S. W. pisał i korygował, nie domyślając się nawet, jak jego akcje szły w górę w »Dworku na przedmieściu.«

Nagle oderwał go od pracy tentent kopyt końskich, i za chwilę znalazł się u okna na podwórzu dr. Emanuel na swoim szpakowatym wierzchowcu. Wyciągnął rękę i powitał Stanisława, podjeżdżając jak najbliżej. Machiawel włożył swój szpakowaty łeb przez okno do pokoju, a ponieważ Marcin i dzisiaj porobił był jakieś redukcje w jego budżecie owsianym, więc począł nozdrzami uważnie śledzić na stoliku, czyli nie znajdzie tam co pożywnego. Obwąchał *Gazetę Kolońską*, i stracił ją pogardliwie na ziemię. Poświęcił następnie niejaką uwagę egzemplarzowi *Journal des Débats*, ale i ten nie trafił mu jakoś do przekonania. Nakoniec zanurzył się w kosz redakcyjny, misterny wyrób przemysłu krajowego, pleciony ze słomy i począł badać manuskrypta, na jego dnie spoczywające.

— Panie Stanisławie — rzekł tymczasem dr. Mitręga — czy jest dzisiaj jaki artykuł, popierający kandydaturę Bombogromskiego?

— Nie ma. Byłoby to zbytecznem, skoro nikt nie oponuje.

— To wybornie! Otóż muszę panu powiedzieć, że jest opozycja. Bądź pan łaskaw donieść natychmiast, że grono bardzo poważnych obywateli, po dojrzałej rozwadze, nie widząc w wyborze majora Bombogromskiego tych rękojmi, jakie daje rutyna dyplomatyczna poparta wiadomościami specjalnemi, postanowiło nie głosować na niego, i stawia kandydaturę zasłużonego weterana idei demokratycznej i federalistycznej, dra Ciemięgi, którą z całego serca popieramy. Dodaj pan oczywiście coś więcej, ale w tym duchu.

— Kandydaturę dra Ciemięgi! — zawołał Stanisław, wytrzeszczając oczy.

— A tak, jest to jedyny kandydat, który może liczyć na większość głosów; był dawniej bardzo popularnym w Wilkowie, a my odświeżymy jego popularność.

— Ależ dr. Ciemięga oświadczył się przecież stanowczo przeciw wojnie z Laputańczykami, za którą my tak gorliwie przemawiamy, i w ogóle w swojem politycznem wyznaniu wiary zawarł to wszystko, co Rakowiczanie piszą w *Raku*, podczas gdy Bombogromski...

— Mój panie Stanisławie, wiesz pan przecież, że w szachach — tu Stanisław, słuchając z jednej strony dra Mitręgę, z drugiej zwrócił niespokojne spojrzenie na łeb jego wierzchowca, który coraz głębiej zanurzał się w koszu redakcyjnym — wiesz pan, że w szachach poświęca się nieraz figurę, nawet nieraz bardzo ważną, ażeby w końcu wygrać partję. W szachach uczy tego Murphy, a w polityce (tu dr. Mitręga szarpnął uzdę) Machiawel!

Czy to było szarpnięcie uzdą, czy głośne wymienienie jego nazwiska, czy nakoniec niezadowolenie z instrukcji danej Stanisławowi, lub inna jaka przyczyna — dosyć, że w tej chwili czworonożny imiennik autora »del Principe« żachnął się, cofnął i wydobył z poza okna swój łeb, ale niestety, wraz z owym słomianym koszem redakcyjnym, którego znaczną część już był pożarł, i w który tak się był wgryzł, że uwiązł w nim, jak w kagańcu. Dr. Mitręga użył w tej chwili niefortunnie twardego wędzidła, wplątanego w kosz, Machiawel wspiął się, skoczył w bok, i siodło, u którego podczas poprzednich konferencji z »gronem« popuścił ktoś był popręgów, spadło na ziemię. Byłby z niem upadł i dr. Mitręga, ale oparty jedną nogą na futrynę redakcyjnego okna, chwycił się ręką grzywy, i wskutek tego zmuszony był następnie towarzyszyć Machiawelowi w popisowym acz nieprawidłowym galopie, który tenże począł odbywać naokoło podwórza, nie mogąc wybiedz na ulicę, bo mu drukarze drogę zastąpili. Cały personal *Orędowniczki*, nie wyjmując panien, wkładających i wyjmujących papier z pod prasy, pospieszył na pomoc panu doktorowi, który atoli znalazł się tymczasem w jakiejś beczce, na szczęście, próżnej. Schwytano Machiawela i Maciej osiodłał go napowrót, a szanowny doktor, po krótkiej jeszcze konferencji ze Stanisławem, odjechał do domu.

Tak tedy, podczas gdy w górach Monomotapa sport wpłynął niefortunnie na politykę Milicji i Landwerji, w Wilkowie polityka ta także niebardzo korzystnie wpłynęła na ćwiczenia sportowe. Na razie, skrupiło się wszystko na Marcinie.

Po kilku dniach atoli, hr. Albin Skirgiełło dowiedział się, że *Orędowniczka* postawiła kandydaturę dra Ciemięgi przeciw majorowi Bombogromskiemu, i że dr. Ciemięga upadł przy wyborze, otrzymawszy 200 głosów przeciw 2000. Kamerdyner pana hrabiego, nierównie mniej udzielający się od strzelca, wygadał się przecież póżniej, że pan Albin, otrzymawszy list dra Mitręgi donoszący mu o tym wypadku, rzucił go na ziemię, i wygłosił przytem własnoustnie popularny milicyjski wyraz:

— Dureń! (C. d. n.)

WALKA O NIEOBECNYCH

W śród łagodnej, nieco nawet mdłej atmosfery, która od pewnego czasu opanowała wzajemne do siebie stosunki pism warszawskich, wybuchła obecnie walka, bardzo zresztą przyzwoita, ale przedewszystkiem oryginalna. Chodzi bowiem o *nieobecnych*.

Pisaliśmy już o nich w artykule „absenteizm“ ale pisaliśmy z innego punktu widzenia. Szło tam głównie o znany fakt stałego a nieusprawiedliwionego niczem przebywania ludzi zamożnych za granicą, którzy tym sposobem przynoszą krajowi podwójną stratę — raz tem, że wywożą bez potrzeby pieniądze, drugi raz tem że pomiędzy nimi mogą się znaleźć tacy, którzy z krzywdą dla stosunków i spraw miejscowych całkowicie się od nich usuwają.

W pismach warszawskich, a mianowicie w polemice między dwoma poważnemi jej organami »*Niwą*« i »*Ateneum*,« postawiono kwestję nieco inaczej. Starły się tu ze sobą: zasada arystokratyczna broniona przez Niwę i demokratyczna reprezentowana świetnie przez Ateneum. Niwa, będąca organem pewnej części starszego ziemiaństwa, poczęła kokietować nazwiska rodowe, ubolewając nad ich abstynencją i zapewniając, że kraj z utęsknieniem oczekuje powrotu ich na stanowiska naczelne. Już p. Bolesław Prus znany z dowcipu feljetonista „Kurjera warszawskiego“ z wielkim humorem obrobił tę mniemaną tęsknotę za ludźmi, którzy o kraj nie dbają lub dbać nie umieją, dodając, iż praca dla narodu nie należy do kategorji grzeczności, o które się prosi interesowanych. Obecnie zaś tę sprawę rozbiera poważnie „Ateneum w artykule „Wołanie nieobecnych.“ Przebijające w nim zalety treści i formy pozwalają się domyślać pióra naczelnego wydawcy, który bawi teraz w Warszawie a w każdym razie sądzimy, że czytelnicy nasi z przyjemnością odczytają kilka z tej pracy wyjątków, jakie poniżej podajemy.

Ateneum jest niewątpliwie najlepszym z naukowych organów naszej prasy i miłoby nam było zachęcić w ten sposób szersze koła do popierania jego zasłużonej pracy.

«Mecenas atavis edite regibus!»

„„Niegdyś panowały na ziemi cnota i męztwo, nakształt światła niebieskiego uświetnili ją ojcowie promiennym blaskiem wiekopomnych czynów, nie zaś stosami pism...“

Temi słowy w trzynastym wieku ery naszej żyjący, zacnej pamięci mistrz Wincenty rozpoczynał swą kronikę, zestawiając zapewne w myśli swej szarą rzeczywistość, na którą patrzał, z chwalebnemi wspomnieniami odleglejszej przeszłości, której świetny obraz malowała mu jaskrawo tradycja. W mniemaniu kronikarza, pokolenia, które go poprzedziły, przewyższały swych potomków męztwem i cnotą. Trzy z górą wieki upłynęły od owej chwili: Batory panuje sławnie na tejże ziemi, gdy wieszcz z Czarnolasu w przystępie pesymizmu, woła z goryczą:

«Nie masz dziś w Polsce, jedno kupcy a rataje!
To największe misterstwo, kto do Brzegu z woły,
A do Gdańska wie drogę z żytem a z popioły.»

Więc generacji, która wydała dzielnych towarzyszów króla Stefana, zarzucano kramarską cześć dla złotego cielca, kramarski wstręt do szabli. Potem znowu minęły wieki, przesu-

nęło się niemało pokoleń, a piosenka krakowska głosiła znowu toż samo: „Wiara bracia źle teraz, Lepiej dawniej bywało. Oj mówiłem wam nieraz, Że dziś zuchów jest mało.“ A przecież stulecie, któremu śpiewak tak niepochlebne dawał świadectwo, widziało ziemię usianą kośćmi naszemi od San-Domingo aż do brzegów Nilu.

Ileż więc w tych wyrzutach prawdy?

Każdy z nas starzejąc się powoli, zaczyna rzucać okiem wstecz po za siebie, oglądać się na czasy swej młodości, kiedy mu lepiej było, bo sam był żwawszy, nadzieja lekko wiodła go po ścieżce żywota, wspomnień jeszcze nie miał za sobą; o tem, co mu wtedy dolegało, zapomniał, co go cieszyło wówczas — pamięta jeszcze! nieraz więc westchnie za przeszłością i powie: dawniej lepiej było, dawniej panowała cnota. Ztąd wyrosły zapewne tradycje o wieku złotym w zamierzchłej gdzieś przeszłości, — ztąd powstaje szacowne bardzo w sercach ludzkich przywiązanie do przeszłości i jej pamiątek.

Te myśli nasunęły się nam mimowolnie po odczytaniu jednego z ostatnich zeszytów „Niwy“ w którym publicysta woła na *nieobecnych*, aby się prędzej wśród nas zjawili, bo kraj tęskni za nimi, gorąco oczekuje ich powrotu i gotuje im serdeczniejsze niż kiedy przyjęcie. Zdawałoby się, że na dolegliwości nasze jedynem lekarstwem, powrót owych nieobecnych, że nim się owi, nieobecni dziś, od nas usunęli, panował wiek jeśli nie złoty, to przynajmniej srebrny.

„Niwa“ nie małe już położyła zasługi w prasie naszej, staraniem swem o ciągłe przypominanie publiczności spraw i kwestji społecznych; zdaje się nam jednak, że w kwestjach tych odzywa się często tonem poważnym wprawdzie, ale tak niejasno, że wyrozumieć bywa trudno, o co jej chodzi. W ostatnim tym zeszycie poruszono kilka kwestji społecznej praktyki, każda z nich ważną jest dla nas, ale nie na wszystkie twierdzenia i motywa zgodzić się możemy.

Pan Ligęza naprzykład stawia żądanie, aby „pismo wypowiadało swój program i starało się go konsekwentnie przeprowadzić, a jasno wypowiadane zasady, muszą wytworzyć siłę przyciągającą dla ludzi, którzy głoszone przekonania za swoje uznawać pragną.“ Twierdzenie to jasne i stanowczo wypowiedziane, widać jednak, że się ono w praktyce nie tak łatwo daje rozwinąć, kiedy go i redaktorowie „Niwy“ nie zawsze mogą stosować.

Prawda to, że częściej spotykamy w pismach naszych wyrazy „nasze zasady“, „nasz program“, aniżeli programu tego rozwijanie, lub zasad obronę i wykład.

Ale przechodzi nam tu na myśl, co przed paru laty dowcipnie bardzo wypowiedział jeden z publicystów naszych: „Brak nam dotąd było czasu i miejsca, a zapewne i zawsze ich nam brakować będzie na jasny i obszerny wykład programu, którego się trzymamy.“ Otóż ten brak czasu i miejsca, więcej może niż brak talentów pisarskich, staje na przeszkodzie rozwijaniu programatów; nieraz jednak literat ulega pokusie wypowiedzenia przynajmniej tego, że ma jakiś program, że ma zasady, a domyślnemu czytelnikowi każe dochodzić tej zagadki z całego szeregu prac swoich. Nie dziw więc, że zagadki nie zawsze odgadywane bywają trafnie. Nie wiemy, czy brak talentów wyższego rzędu pomiędzy współpracownikami, czy też oglądanie się na ludzi, na warunki nas otaczające, każą pismom naszym trwale trzymać się ogólników, zdaje nam się atoli, że jeżeli w praktyce tak rzadko chcą czy mogą wychodzić po za obręb ogólników, lepiejby robiły, żeby programatów nie wypisywały, ani sztandarów, których nieść nie mogą wysoko, nie wywieszały.

Cała odezwa do nieobecnych wyraża bardzo stanowczo żądanie autorów, aby oni wrócili, bo bez nich źle się dzieje krajowi całemu; ale motywa tego żądania tak splątane są z wykładem zasad, ze stawianiem twierdzeń naukowych nie zupełnie ścisłych, że mięszają one czytelnikowi pojęcia arystokracji i demokracji, pojęcia o roli, jaką ludzie różnych powołań odegrywają w społeczeństwie, i dla tego o tych motywach pomówić trochę szerzej zdało się nam potrzebnem.

A najprzód, jakkolwiek nie podobać się to może szanownemu publicyście „Niwy“, nie możemy przystać na to, że pojęcia same: *najlepsi* i *arystokracja* sobie odpowiadają. Bo ani znaczenie tego wyrazu, ani nauka o społeczeństwie tego od nas nie wymagają. Znaczenie wyrazów używanych w mowie potocznej zmienia się z biegiem czasu, to prawda, ale ani w starożytności, ani za dni naszych arystokracja nie oznaczała najlepszych, ani nawet najmędrszych. Arystydesa, Focjona lub Sokratesa nikt nie nazwie arystokratami, Plato i Arystoteles nie byli tak mianowani; św. Franciszek z Assizu, ani św. Wincenty á Paulo nie są zaliczani do arystokracji; i dzisiaj nikt nie nazwie tak chociażby najcnotliwszego człowieka, chociażby najszczytniejszego mędrca. Pojęcie *arystokracji* zawsze mieściło w sobie element siły, potęgi, panowania; prawda, że miało oznaczać siłę inteligencji, w przeciwstawieniu *demokracji* jako sile liczby — ludu.

Zresztą samo pochodzenie wyrazu mało nas tu interesować może, bo nie o filologię tutaj chodzi, ale o fakt historyczny i jego znaczenie.

Tłumacząc powstanie arystokracji, publicysta „Niwy“ wskazuje na trzy główne czynniki, które się na jej wytworzenie składają: na element duchowy, materjalny i społeczny.

Pomiędzy niemi dwa pierwsze, mianowicie męztwo, zręczność, wrodzone zdolności, doświadczenie nabyte a nawet mądrość i cnota, jako pierwiastki duchowe; nierówność majątkowa, prawo dziedziczenia własności, że dodamy do tego nierówność siły fizycznej, jako pierwiastki materjalne, są to fakta zawsze i wszędzie istniejące w pośród ludzi. One są powodem, że równość absolutna w społeczeństwie nigdy nie da się osiągnąć; ale zgodzą się one tak samo z arystokratycznym jak i z demokratycznym ustrojem społecznym. Przeciwko takim faktom ani od woli ludzkiej, ani od praw przez ludzi pisanych niezależnym, żaden poważny publicysta, choćby też był najskrajniejszym demokratą, powstawać nie może. Narzekają na nie czasami poeci liryczni, twórcy utopii o przebudowaniu społeczeństw starają się dowieść, że one nie istnieją wcale, miotają się na nie dzisiaj bardzo ogłędnie demokraci socjalni w Niemczech, więcej stanowczo gdzieindziej; nasi jednak najśmielsi reformatorowie bodaj i w teorjach swoich nigdy przeciwko tym faktom nie podnosili sztandaru.

Przyrodzona nierówność ludzi dostarcza materjału do arystokratycznej budowy, ale arystokracja jako zjawisko historyczne jest już faktem czysto społecznym, jedynie z elementów życia społecznego wykwitającym. Nie wiem zkąd poczerpniętą została wiadomość, że „każde nowo-organizujące się państwo, znajdując już na terytorjum swojem istniejącą arystokrację... wciągało w siebie ów społeczny pierwiastek, organizowało go i utrwalało swemi urządzeniami“...

Początki organizowania się państw są tak mało znane i tak niedokładnie zbadane, iż trudno twierdzić czy arystokracja organizowała państwo, czy państwo arystokrację; nam się jednak zdaje przypuszczenie pierwsze zgodniejsze z prawdą, bo silniejsi musieli przecież organizować słabszych i naturalnie dla siebie pierwsze miejsce zachować nie zaniedbali. To też w państwach już uorganizowanych, o których historja pisze, widzimy arystokrację jako siłę opartą na przywileju. Czy to wyłączne prawo używania jakiego rodzaju lepszej broni, czy monopol prowadzenia jakiego korzystnego handlu, czy prawo przywodzenia sile zbrojnej narodu, wyłączny wymiar sprawiedliwości, posiadanie ziemi, posiadanie niewolników, poddanych lub wassalów, zawsze *przywilej* był początkiem powstawania arystokracji, jako pewnej oddzielnej klasy w społeczeństwie. Ludzie rozmiłowani w porządku arystokratycznym twierdzą, że silni zastrzegali sobie te przywileje w najlepszych celach, dla dobra ogólnego, ale ponieważ sam ustrój społeczny studjować zaczęto wtedy dopiero, kiedy już mnóstwo złego i dobrego to panowanie, na przywileju oparte, zrodziło, nie dziw że inni, znowu twierdzą, jakoby *ci silni* zagarnęli przywilej w celach czysto egoistycznych.

Nie myślimy bynajmniej przeczyć temu, że wszystkie arystokracje, szczególnie w czasach swego pełnego rozwoju, wiele dobrego zrobiły dla narodów; że sam ustrój arystokratyczny społeczeństw miewał swe dni piękne, i zapisał w dziejach mnóstwo chlubnych wspomnień o sobie. Samo uorganizowanie społeczeństw ludzkich w ład i porządek było już stokrotnem zwiększeniem siły ludzkiej, olbrzymiem ułatwieniem wszelkiego rozwoju, wskazanie usiłowaniom i dążeniom ludzkim rozlicznych stale określonych celów, mogło robić każdą pracę skuteczniejszą. Długie zaś panowanie tego porządku, wśród którego poczęła się i rozwinęła cywilizacja europejska, powołanie na swe usługi i ku swej obronie wszystkich sił duchowych i materjalnych, jakie się tylko wśród ludzi rozwijały, zrobiły to: że hierarchie kościelne, nauka, sztuka, przemysł, wreszcie opinia powszechna zrosła się z tym ustrojem, i przez czas jakiś wszystkim z tem mogło być dobrze na świecie, kiedy każdy znał i uznawał wskazane sobie w społeczeństwie miejsce, kiedy urodzenie określało już z góry powołanie każdego, a żebrak był z łaski Bożej Jego królewskiej mości żebrakiem, zarówno jak panujący był z łaski Bożej wodzem i prawodawcą narodu.

Pod opieką tego przywileju uznawanego i szanowanego pozez wszystkich, działy się wiec rzeczy piękne i wielkie, ale działo się i krzywd niemało; znoszono je cierpliwie, bo uważano za konieczne. Jednakże wszelki przywilej silnym jest do pewnego tylko czasu, do czasu jeno nikt nie zaprzecza mu prawa bytu; jako dzieło ludzkie nie może nosić w sobie siły wiecznotrwałej, równoznacznej prawom natury działającym niezmiennie i wiecznie. Nosi on w sobie samym pierwiastek rozwoju, bo ułatwia rozrastanie się organiczne uprzywilejowanych, ale nie mniej ma w sobie i pierwiastek niszczący, rozkładający ten sam organizm, którego bujnemu rozkwitowi dopomógł. Zabezpieczając od współzawodnictwa, usypia powoli ogłędność, wstrzymuje działalność postępową, osłabia te sprężyny

ruchu, te popędy życia, które pierwsze wybiły na wierzch ludzi silniejszych i zręczniejszych; niweczy nawet fizjologiczne i moralne wpływy dziedziczności, bo rozwinięte w organizmie wyższe siły zwraca pospolicie ku celom niższym, zabezpiecza bogactwo, znaczenie, władzę, a budzi nadmiernie żądzę używania i rozkoszy, które wycieńczają życie samo powoli.

Tymczasem wśród społeczeństw ludzkich wyradzają się siły nowe, znajdują one dla siebie opiekę i poparcie w kupieniu się razem, a często i pomiędzy uprzywilejowanymi znajdują silne podpory. Cechy mieszczańskie w wiekach średnich już stanowią siły poważne, a naturalni przywódzy arystokracji — sami królowie opiekują się niemi, podtrzymują je silną swoją prawicą. Rozpoczyna się wtedy walka społeczna, która stanowi całą dramatyczność dziejów. Obok siły nowej, wytworzonej przemyślnością i pracowitością miast, powstaje nowa organizacja urzędowa: biurokracja i armia stała. Odtąd w biurach pod ręką i kierunkiem panującego załatwiają się wszyskie sprawy, które pierwej były wyłącznym powołaniem arystokracji; żołnierz staje na miejscu rycerza, wymiar sprawiedliwości przechodzi do sędziów z ręki władzy najwyższej mianowanych, administracja rządowa obejmuje kierunek nad sprawami gospodarskiemi narodu. Obowiązki, które spełniały rody arystokratyczne, przechodzą na innych, a zatem i sama zasada arystokratycznego ustroju staje się już dla społeczeństw czczą formą tylko. Prawa nabyte, zabezpieczone przywilejem, trwają jeszcze, ale poszanowanie tych praw potrzebuje już pomocy od przymusu zewnętrznego i dni ich są policzone.

Po za mieszczaństwem bogatem i rozumnem, po za biurokracją potężną przez samą organizację swoją, powstaje siła nowa, bo do niej odwoływać się zaczynają i jedni i drudzy o rozstrzygnienie sporu. Siła liczby, siła ludu, siła *demosu*, zaznacza początek nowej ery — panowanie demokracji.

Powaga przywileju upada, bo w pojęcia ludzkie przesiąka idea równouprawnienia, powstaje społeczeństwo nowożytne, w którem ludzie siłą fizyczną ani moralną, zdolnościami lub majątkiem nie są sobie równi, ale w którem mają, a przynajmniej mieć powinni, równe prawo do rozwijania i kształcenia tej ilości siły, jaką każdy z sobą na świat przynosi, do jednakowego zabezpieczenia praw swej osoby i własności, do jednostajnego szacowania usług oddanych przez siebie innym ludziom, lub zasług względem całego społeczeństwa, do dorabiania się nietylko majątku, ale i znaczenia na świecie.

Siły równemi nigdy nie będą, ale dostęp do swobodnego ich użycia może być dla wszystkich równo otwartym; wolno więc powiedzieć, że prawa równe dla wszystkich być mogą i niewątpliwie będą, kiedy się demokratyczny ustrój społeczny ostatecznie złoży w organiczną całość. Demokracja ma także swoje ideały, niektóre z nich dzisiaj nie są możebne do urzeczywistnienia, mianowicie pragnie ona ażeby wszyscy, ludzie mieli nie tylko równe prawo, ale i równą możność rozwijania sił swoich, i nie przestaje szukać drogi do wcielenia tego ideału w organiczny rozwój stosunków ludzkich. Drogi tej jeszcze nie znalazła. Przerażające dzisiaj wszystkich objawy ruchów socjalistycznych są tylko namiętnem, chorobliwem miotaniem się ku osiągnieniu tego celu; są one nierozumne, bo rodzą się nie z myśli zdrowej, ale z namiętności wybujałej, są często występne, bo sięgają po prawo cudze, i zamiast normalnego rozwijania praw i obowiązków człowieka, chcą wszystkim narzucać pęta wymarzonych formułek, w których, jak mylnie sądzą, swój ideał zamknąć im się udało.

Ustrój demokratyczny, który owładnął światem dzisiejszym, powołał do życia wszystkie siły, jakie się wśród społeczności ludzkiej przejawiają.

W tym olbrzymim zgiełku i ścieraniu się sił żywych, jakież znaczenie mieć mogą nazwiska historyczne, jeśli im osobista zasługa nie towarzyszy, chociażby najświetniejszym nimbem wspomnień otoczone?

Kto z żywiołów kłótni,
Z bitwy miejsc i lat
Harmonią wylutni,
Rytmu stworzy świat?

pyta poeta urodzony w pańskiej kolebce i nie mogący być posądzanym zgoła o demokratyczne zachcianki. A jednakże i on nie odważa się przyznać tej roli arystokracji i odpowiada ogólnie: „Ten, w kim ognie życia gorą"; a przecież ogień życia wykradł bogom Prometeusz dla całego rodu ludzkiego, nie dla wybranej tylko jego jakiejś cząstki!

Nie mamy bynajmniej zamiaru, komukolwiekbądź zaprzeczać prawa rozmiłowywania się w brzmieniu nazwisk historycznych, ale pomimo najczulszego do pamiątek, zawsze miłych, często istotnie nawet chlubnych, przywiązania, nie widzimy, ażeby możebnem było pamiątkom i wspomnieniom przypisywać równe znaczenie jak nadziejom i widokom polepszenia losu, kształcenia rozumu, szerzenia nawyknień pracowitości, wprawiania ludzi do ciągłej pracy około pożytku własnego i dobra współobywateli.

Dlatego dziwno nam trochę słyszeć dziś publicystę, wołającego tęsknym głosem za nieobecnymi, żeby wracali, „bo kraj nigdy ich powrotu nie oczekiwał goręcej, bo może nigdy ich obecności tak bardzo nie potrzebował". I dla nas nazwiska historyczne brzmią pięknie; wiemy, że wśród całego narodu zachowało się dla nich poszanowanie, dlatego, że tak długo żyliśmy samemi wspomnieniami, żeśmy się z niemi zrośli zupełnie i stanowią one cząstkę istoty naszej, może najdrażliwszą stronę naszej natury; otóż publicysta, który według słów Ligęzy obowiązany jest „pojąć i odczuwać kierunki, któreby społeczeństwo na manowce zaprowadzić mogły", nie powinienby, wedle naszego zdania, rozmiłowywać się w graniu na tej strunie, miło dla nas dźwięczącej, ale niedającej czy niechcącej nastroić się do harmonji z tegoczesnym akordem społecznym.

Zdziwienie nasze tem bardziej jest uzasadnionem, że chodzi tu nie o wyjaśnienie tradycji, ale o robotę, i że czułe to wezwanie zwrócone do nieobecnych z tego powodu, iż panowie, których nazwiska kończą się na *man*, *erg* lub *ein*, już położyli niemałe zasługi około pożytku ogólnego, więc (wniosek wyprowadzony nie na mocy praw logiki wprawdzie, ale na podstawie niedawno zaszłych faktów), więc pomimo tych zasług, kraj cały ogląda się za innyni przewodnikami, bo na tych „z nader ruchomego i sypkiego materjału wzniesionych karjatydach" nie możemy chętnie opierać siły i chwały naszego społeczeństwa.

Wniosek ten, a przynajmniej na ornamentację jego użyte wyrazy siły, chwały, losów i czci zdają się być bardzo przesadne. Publicysta ów, który umie kochać po ojcowsku i chce przecież być sprawiedliwym, skoro pomimo sentymentalnego przywoływania nieobecnych, nie szczędzi im słów prawdy i tylko jak ojciec w dzieciach rozmiłowany szuka przyczyn uniewinniających ich błędy, skoro zaprzeczając panom *ergom* i *manom* praw do udziału w kierowaniu społeczeństwem, chce uznawać ich zasługi, przyzna nam zapewne, że nazwisko historyczne, którego piastun umie tylko wykwintnie życia używać, jest pono materjałem o wiele więcej sypkim i kruchym, aniżeli niemile dla niego brzmiące nazwisko, ozdobione i uzacnione własnemi zasługami człowieka, który je nosi. Jeżeli tradycja ma być tak dalece wielką siłą, że ona przedewszystkiem, żyjąc w sercu dziedzica historycznego rodu, zagrzewa go do pracy około dobra publicznego, to w sercu bankiera naprzykład, z nazwiskiem nieznanem w przeszłości, musi silnie pulsować miłość tego dobra publicznego, skoro on dlań nie szczędzi swych trudów, pomimo iż tradycja nie zagrzewa go do tego; a miłość taka pono nie mniej warta od tradycji, bo ona sama daje początek nowej tradycji rodowej.

Nazwisko historyczne przypomina nam nieraz, że z całego szeregu pokoleń piastujących niegdyś zaszczyty, tytuły, pobierających obficie chleb dobrze zasłużonych, z szeregu całego, kilku tylko szczerze i czynnie pracowało dla narodu, a reszta dbała o siebie jedynie i nieraz ludzi krzywdziła. Nie zapominajmy, że kiedy protoplaści tych rodów wybijali się z tłumu na wyższe stanowiska, nie brakło im nigdy przeciwników, którzy ludzi nowych witali szyderstwem, nazywali ich parwenjuszami. Król Poniatowski był w oczach księcia na Nieświeżu tylko „panem stolnikiem litewskim", a pobożny tłum szlachecki z pobłażaniem wprawdzie, ale niezbyt pobożnie „dziwił się Opatrzności" z powodu, że „ojciec w krześle, syn w koronie, a dziad — podstarości!" Alboż i dawniej nie wytykano przodkom wielu zasłużonych rodów magnackich, że wyszli z mieszczan krakowskich; alboż do nazwiska Małachowskich nie przyczepiono szyderczego dodatku wtedy nawet, kiedy imię marszałka sejmu wielkiego ze czcią powszechną było wymawiane? Tak samo dzisiaj około powstających z tłumu potentatów świata finansowego, nie brak napastników. Ani tamci wtedy, ani ci dzisiaj nie są bez zarzutu, nieraz może pobłądzili i pobłądzą, niejednej krzywdy ludzkiej mogą stać się przyczyną, w świecie finansowym są i dobrzy i źli obywatele. Ale potępianie, a nawet wyrażanie wątpliwości o całym świecie finansowym *en bloc*, tyleż warte co i bezwzględna admiracja dla wszystkiego co było dawniej, jedno i drugie może mniej więcej wymownie opowiadać upodobania, skłonności serca pewnych ludzi, ale się nie wzniesie nigdy do znaczenia „jasno wypowiedzianej zasady", jakiej to zasady pan Ligęza wymaga od publicysty i pisma publicznego. Wiemy z dziejów, że wielcy królowie nie podzielali podobnych uprzedzeń. Pierwszy nasz prawodawca, Kazimierz, wydobył z miejskiego tłumu głośnego finansistę Wierzynka; Zygmunt Stary osypał zaszczytami mieszczańskie dziecko, Bonara; a działo się to w czasach, które w przeszłości naszej najpiękniejszym blaskiem chwały jaśnieją. Historję zowią mistrzynią życia: azaliżbyśmy, my jedni, zawsze mieli być głuchymi na jej nauki? Odrzucając

Socjalizm

je, zdradzicie się tylko z pretensją do zamknięcia dziejów narodu na pewnej ich karcie, do upatrzenia pewnej epoki, po której już nic nowego nie ma prawa się tworzyć, i nikt na nowo nie może wstąpić w szeregi prawdziwych obywateli.

Zresztą cóż znaczyć może wzywanie nieobecnych, aby pomiędzy nas wracali? Służenie społeczeństwu, to nietylko obowiązek, to zaszczyt, a do zaszczytów ludzie nie zwykli zapraszać: pożądający powinien się o nie dobijać z własnego popędu. Nieobecni zapewne nie widzą wśród nas, lub nie czują w sobie dostatecznych pobudek do poświęcenia krajowi sił swoich, wybrali sobie inne powołanie; pozbawieni przywilejów, które stanowiły ich siłę, szukając teraz po świecie ekscytacji rozmaitych, być może w nadziei, że siły ich przez to rozbudzą się na nowo; nie studjowali zapewne fizjologji, nie wiedzą, że sztuczne ekscytacje prowadzą nie do wzmocnienia, lecz do wyczerpania. Wątpić wolno, aby najgoretsze wezwania mogły podziałać na człowieka, który pragnie życia używać, bo w używaniu jego wykwintnem, jedynie czuje się być człowiekiem wykształconym. Tacy poniewolni mężowie stanu umieją tylko dowcipnie szydzić z grubych instynktów gminu, jakby nie wiedzieli, że dla gorzałki i szampana wspólnym protoplastą jest alkohol, że między słynnym Homburgiem, uroczem Monaco, a duszącą piwnemi parami kręgielnią na Saskiej kępie zachodzi gatunkowa tylko różnica.

Publicyści skuteczniejby mogli zwrócić swe głosy do wielu obecnych pomiędzy nami, którzy zdają się dobrowolnie i rozmyślnie na manowce zachodzić. Za dawnych czasów ziemianie nasi cieszyli się temi samemi, co i możnowładcy przywilejami, i pod tarczą przywileju stanowili jakoby jedno z nimi ciało, chociaż w politycznem i w społecznem życiu zupełnie odmienne mieli powołanie. W rzeczypospolitej szlacheckiej, przy ówczesnym braku zamożnego i wykształconego mieszczaństwa, obok rycerskiego swego zawodu, pełnili oni wszystkie funkcje moralnej pracy społecznej, które się dostały na zachodzie Europy stanowi średniemu. Wpośród ziemiaństwa po powiatach i ziemiach żyjącego, zamożnego i odpowiednio do pojęć epoki wykształconego, rozwijało się przedewszystkiem życie narodowe; ono to więcej niż arystokracja stanowiło istotny zawiązek siły społecznej, tam rodziły się talenta, tam przechowywała się prawdziwa tradycja narodowa, tam żyje ona dotąd. Niegdyś ziemiaństwo próbowało walczyć o lepsze z arystokracją; nie powiodło mu się w tej walce, dało się uwieść pozorami równości, formą panowania, dało się skusić bezwzględnem uznaniem przywileju władzy nad ludem poddańczym. Prawa polityczne wymknęły mu się z czasem, a potem i przywilej panowania domowego. Ale pomimo to, nie mogli ziemianie, jak to łatwiej przyszło możnej arystokracji, usunąć się na bok od społecznego powołania swego, pozostali na miejscu, żyją po wsiach swoich, i każdy dworek wiejski jest ogniskiem, słabem lub silnem, ale zawsze jest ogniskiem życia duchowego.

Nowy prąd idei, od początku obecnego stulecia przekształcający ustrój społeczny, tak samo jak był powodem upadku przywilejów, wywoływał do życia w kraju całym nowe siły: miasta nie wyrosły dotąd wprawdzie na prawdziwą potęgę, ale niemniej dzisiaj żyją już własnem życiem; ubożsi ze szlachty samej, którzy szukali promocji w obowiązkach służby rządowej, wytworzyli cale poważny zastęp ludzi wykształconych, którzy żyjąc po miastach odrębny od ziemian noszą charakter; budzący się przemysł i rozwijający handel tworzą ciągle coraz to nowe majątki, które dają ludziom stanowisko często równe, a nieraz znacznie wyższe od zwykłego ziemiańskiego. Prąd ten demokratyczny, wzmagając się ciągle, sprowadził nakoniec dwa ostatnie najważniejsze fakta w społeczeństwie naszem: równouprawnienie wszystkich stanów i uwłaszczenie włościan.

Szlachta nasza przeciwko tym faktom nie stawała w opozycji, owszem o ile to od niej zależało, przyczyniała się do ich popierania; i umiała wyrzec się swych przywilejów, z męztwem i godnością. I dzisiaj chociażby nawet miała prawo i możność usunienia równouprawnienia i uwłaszczenia, nigdyby się o to nie pokusiła, ani o tem nie pomyślała. Ale zasady, chociaż w prawie obowiązującem zapisane, nie tak łatwo przenikają w obyczaje, nie tak łatwo praktykują się w życiu powszedniem, jak przed kratkami sądowemi naprzykład, lub wobec poboru wojskowego. W potomkach rodzin szlacheckich żyje gdzieś na dnie serca chęć ukryta wyróżniania się czemkolwiek od innych ludzi. I niczby przeciwko takiej ambicji powiedzieć nie można było gdyby się ona stawała pobudką do współzawodnictwa z ludźmi innego pochodzenia na polu pracy i zasługi. Ale pomimo wielu na tej drodze chlubnych faktów, które prasa nasza często zapisuje, widzimy zjawiska budzące obawy.

Oto w obecnych czasach coraz to szersze koła młodzieży szlacheckiej ogarnia dziwna jakaś słabość coraz to jaskrawszego malowania i rzeźbienia herbów swoich, wyszukiwania dla siebie nie zawsze już swoich tytułów, doszukiwania się wśród przodków swoich, ludzi, którzyby piastowali senatorskie, albo przynajmniej ważniejsze ziemskie urzędy.

Usłużni ludzie wydają w tym celu coraz to nowe herbarze, bodaj coraz mniej prawdziwe; upośledzeni przez los okrutny nie sięgamy wprawdzie tak daleko, jak owi hrabiowie francuscy, co się wywodzili od złego łotra, któremu Chrystus nie obiecał raju; poprzestajemy skromnie na genealogji od jednego ze stryjów zjedzonego przez myszy Popiela, a heraldyka dla wielu staje się nauką równoważną z historją. Otóż wszystko to dowodzi, że wśród tej części młodzieży szlacheckiej, silniej panuje pochop do wyróżniania się zasługami przodków aniżeli zdobywania sobie nowych laurów.

Niebaczni nie chcą rozpoznać całej siły nowoczesnego prądu demokratycznego, który ze wschodu i zachodu, z południa i z północy i z wnętrza naszego własnego społeczeństwa, prze gwałtownie do roboty, do zasługi własnej, osobistej. Prąd ten ma swoje słabostki i kaprysy nawet, tak samo jak je miała arystokracja, i jak mieć je będzie każda siła żywa w ułomne serca ludzkie wcielona. W zwykłym biegu rzeczy rad on szanować pamiątki historyczne, pojmuje i przyznaje nawet ich znaczenie; burzy je tylko w chwilach podrażnienia, w gwałtowniejszych swych porywach. Ale zawsze i wszędzie zarówno w stanie normalnym, jak i w gorączkowym, nienawidzi on nadewszystko chełpienia się z zasług cudzych, strojenia się kawek w pawie piórka, wywoływania do życia sztucznego, nie już pamiątek historycznych, ale mar przeszłości, a cóż dopiero kiedy się okaże, że to nie są istotne upiory z innego świata wracające, jeno dla postrachu prostaczków, dziwacznie pozszywane, z szat cudzych, maskaradowe trawestacje.

Patrząc na ten pochód czy wyścig całych mass ludzi, pełnych zapału, ożywionych nadzieją, że zasadom, w które wierzą święcie, zapewnią stały tryumf, nietylko w prawie pisanem, ale w obyczaju i praktyce życia, pytamy siebie z obawą, co się stać może z gronem chociażby dość licznem sił młodych, które zechcą opierać się wyłącznie na kapitale rzekomym a choćby nawet istotnych zasług, zebranym przez przodków? Grono to może być zgniecione i musi stracić swoje znaczenie społeczne. Czyż nie żal tych ludzi zabłąkanych na manowce, czyż nie do nich wołać należy: opamiętajcie się, wracajcie na wielką drogę. Rozmiłowani w samych tylko pamiątkach, nie widzicie co się wokoło was dzieje, nie myślcie, że tytuł prawnie czy nieprawnie do nazwiska przyczepiony, a chociażby wydrukowany w herbarzu, może wam dać wśród dzisiejszego świata znaczenie poważne, podobnie jak wam zjednać jest wstanie uprzejmy uśmiech w salonie, lub wyższe miejsce za stołem jakiego dygnitarza. A wołamy tak, bo się nam widzi tutaj marnowanie sił, które oszczędzać i potęgować byśmy pragnęli.

Podobnem do tego marnowaniem, bo zrażaniem niepotrzebnem sił bardzo wiele znaczących, wydaje nam się głoszone przez publicystę „Niwy,“ nieupodobanie do nazwisk na *man*, *erg*, i t. d.

Nie znamy powodów, dla których mówi poważny publicysta, o oddaniu *wyłącznem* losów i czci narodu w ręce firm handlowych, ale zgadzamy się zupełnie na to, że narody tego czynić nie mogą, bo nie jest i nie będzie powołaniem firm kupieckich kierować losami lub bronić czci narodu; nie widzimy jednak zgoła, aby podobny stan rzeczy miał dla nas nastawać. Losy narodów, a raczej skromniej, ale bliżej z prawdą mówiąc, drogi po których kroczą społeczeństwa nie bywają im zakreślane ani przez firmy handlowe, ani nawet przez historyczne rody, ale przez ludzi rozumnych i energicznych, którzy widzą i znają co dla pożytku ogólnego, co dla uszanowania czci własnej jest koniecznem, pożytecznem i zbawiennem.

KRONIKA NAUKOWA

PRZEZ

B. ABAKANOWICZA.

Świat naukowy poniósł wielką stratę. Dnia 7. b. m. umarł w Paryżu generał Morin, którego nazwisko złączone jest z wielkiemi odkryciami naszego wieku w dziedzinie mechaniki. Urodził się on w r. 1795; w r. 1813 wstąpił do szkoły politechnicznej a w 1815 brał czynny i energiczny udział w obronie Paryża. W r. 1855 już był generałem dywizji. Morin młode swe lata poświęcał wojennym sprawom, ale nastąpiła długa chwila pokoju i ruchliwy jego umysł musiał szukać zajęcia jakiegokolwiek, któreby absorbowało jego zdolności. Zajął się odkryciami, badaniem nauk ścisłych i wynalazkami. Prace jego były tak obfite i tak doniosłe, że już w r. 1843 został wybrany członkiem Akademji. W 1845 został profesorem mechaniki w konserwatorjum sztuk i rzemiosł a następnie dyrektorem tejże

szkoły. W 1855, był prezesem komisji urządzającej powszechną wystawę. We wszystkich pozycjach wysokich jakie zajmował, wzbudzał poszanowanie i sympatję.

Morin przyczynił się bardzo wiele do dania mechanice ścisłych, naukowych podstaw. Jako towarzysz Ponceleta, tego twórcy prawdziwego mechaniki stosowanej, miał sposobność do robienia pierwszych ważnych doświadczeń pod okiem takiego mistrza. Posiadając znakomite wiadomości matematyczne, mógł z łatwością stawiać ogólne teorje, które wiele ciemnych do owego czasu zjawisk rozjaśniały. Jako eksperymentator doszedł do całego szeregu wielce pożytecznych przyrządów mechanicznych tak czysto praktycznych, jak i służących do innych badań naukowych.

Jedną z pierwszych jego prac, były kilkoletnie doświadczenia nad tarciem, świetnie rozpoczęte przez Coulomba. Dotychczas jeszcze ludzie nauki posługują się nieraz datami, przez Morina zebranemi. Dalej poświęcił się, z polecenia rządu, badaniom ballistycznym i zdał z nich sprawę Akademji umiejętności. Chodziło o porównawcze zbadanie efektu pocisków wyrzuconych z dział rozmaitych systemów. Rezultaty przez Morina otrzymane były nowe i zajmujące.

W dalszym ciągu pracował nad turbinami, obmyślał przyrządy do mierzenia ich prac i wykazał pierwszy, że turbiny bez straty mogą być całkowicie pod wodą zanurzone.

Długi czas poświęcił na studjowanie stosunku pomiędzy motorami a wozami, a raczej do oznaczenia siły potrzebnej do poruszania wozów. W tym celu zbudował głośny swój i powszechnie znany przyrząd, zwany dynamometrem obrotowym.

Pierwszym, który widział możliwość graficznego notowania zjawisk, w które wchodzą dwa odmienne czynniki, był Poncelet. Praktycznie myśl tę przeprowadził Morin. To właśnie zrobiło go członkiem Akademji. Zbudował on przyrząd, który rysunkiem dawał obraz zmian w szybkości ciała spadającego. Ciało takie miało na sobie przymocowany ołówek, który spadając z niem na dół, rysował linję na powierzchni obracającego się cylindra. Każdy moment spadania był w ten sposób zanotowany.

Po roku 1852 Morin zajął się sprawami hygieny publicznej, a mianowicie wentylacją. Niezliczone doświadczenia doprowadziły go do zastosowania nowego systemu w teatrze Châtelet, a system ten przyjętym był ogólnie. Najnowsza sala koncertowa na Trocadero, została w ten sposób zaopatrzoną w świeże powietrze.

Jako autor Morin znany jest głównie z dwóch dzieł: „Leçons de mécanique pratique“ i Résistance des matériaux“ 1853, a oprócz tego z rozmaitych rozpraw w rzeczach specjalnych.

* * *

W kronikach naszych wzmiankowaliśmy już niejednokrotnie o słynnym projekcie francuskiego kapitana p. Roudaire, zalania północnej części Sahary, należącej do Algieru. Badania wykazały, że istniała tam niegdyś zatoka morska, która była przedłużeniem zatoki Gabes. W przebiegu wieków piaski zaniosły wąskie połączenie tej zatoki z morzem Śródziemnem. Jednocześnie według wszelkiego prawdopodobieństwa grunt u tego połączenia, został podniesiony siłą wewnętrzną. Odcięta zatoka stała się wielkiem słonem jeziorem. Gorące zwrotnikowe słońce zamieniło szybko wodę w parę, a ponieważ nie było żadnego przypływu, więc powoli zrobiły się na tem miejscu mniejsze jeziora błotniste, tak zwane *Szotty* o wielkiej ilości soli, które obecnie nawet w suchej porze zupełnie wysychają, tak że po skorupie ich przechodzić można. Otóż Roudaire, projektuje napowrót przebicie wała dzielącego Szotty od morza i napełnienie ich wodą. Utworzyłoby się tą drogą wielkie jezioro, które według zdania Roudairea i wielu innych, miałoby zbawiennie wpłynąć na zmianę klimatu krajów ościennych, i na podniesienie roślinności. O tym ostatnim fakcie miał niedawno p. Cosson, botanik, odczyt w Sorbonnie paryskiej. Doszedł on do zupełnie odmiennych rezultatów. Twierdzi on, że takie zalanie przyniesie stanowczą szkodę plantacjom daktylów, sprowadzi pogorszenie klimatu i co najważniejsza przyniesie szkodę materjalnym interesom Francji. Ujście tego morza nowego nie należałoby do Francji, a więc cudzoziemskie statki miałyby wstęp wolny do środkowego Algieru i łatwiej dostarczałyby dla mieszkańców towary. P. Cosson twierdzi, że gdyby już podobne morze istniało, to dla interesów francuskich zasypać by je napowrót wypadało.

* * *

Fotografowanie przedmiotów w ich naturalnych barwach nie jest jeszcze rzeczą rozwiązaną, lecz przyprowadzenie pomysłu tego do skutku, jest rzeczą bardzo możliwą. Istnieją już rzeczywiście tego rodzaju fotografje, lecz nie są one trwałe i w świetle dziennem szybko bardzo tracą swe kolory. Nie znaleziono dotąd sposobu utrwalania raz fotograficznie uchwyconych barw. Rozwiązanie tego problematu należy do przyszłości. Tymczasem fotografowanie przy nadawaniu barw, posługuje się rozmaitemi środkami pomocniczemi, jak nakładaniem kolorów na wierzch fotografji lub pod spód, jak w heliominiaturach. W ostatnich czasach rozpowszechniły się bardzo tak zwane fotodruki, za pomocą których fotografje dają się rozmnażać tak jak litografje przez odbijanie na prasie. Obecnie pan Bonnaud w Paryżu podał łatwy sposób kolorowania takich fototypów. Drukuje się naprzód papier kolorami potrzebnemi, a potem dopiero na wierzch odbija się sam fototyp. Otrzymuje się tą drogą bardzo miłe przejście i cieniowanie, jak w heliominiaturze. Żeby jednak barwy dobrze pasowały, przestrzeń zajmowaną przez każdą z nich oznacza się ściśle drogą fotograficzną.

KORESPONDENCJE.

Genewa, w Lutym 1880 r.

(Kult napoleonizmu. Napoleon Bonaparte, podług pamiętników pani de Rémusat. Zawiązanie się stosunków jego z Walewską. Nowela Zürichska Kellera. Francosy i Fränkele. Projekt wydziału naukowego przy Muzeum Polskiem w Rapperswylu)

Jedną z postaci dziejowych, która w drugiej ćwierci nowego stulecia może najwięcej zapalała podrastającego pokolenia wyobraźnię, był niezawodnie Napoleon Bonaparte. Komu nie wraziła się głęboko w pamięć ta mała, harda postać, z wybitnemi rysami, w trójkątnym stosowanym kapeluszu, w botfortach, w otwartej kamizelce, w długim sorducie po kolana? We wszystkich naszych szlacheckich dworkach były jego portrety, opisy jego licznych bitew, smutne wspomnienia z wyspy Ś. Heleny. Mickiewicz, rozwijając w swych prelekcjach kult napoleonizmu, nadawał tylko świadomą formę temu, co już żyło w piersiach znacznej większości jego społeczeństwa.

Kult ten młodzieńczy, upoetyzowany Panem Tadeuszem i gawędami Syrokomli, wprawdzie w miarę rosnącego doświadczenia i rozszerzającego się umysłowego widokręgu malał, ale zupełnie nigdyśmy się go nie pozbyli. Odbił się on w naszej wierze w Napoleona III. Ile w kalendarzu jest świąt, na każde święto Francuzów nam wróżono; wyglądał człek, wyglądał, aż się oczy mrużyły. Wprawdzie, Robak przestrzegał, że

„babska rzecz narzekać.
A żydowska rzecz, ręce założywszy czekać,
Nim kto w karczmę zajedzie i do drzwi zapuka-
Ale przytem jednak zawsze podtrzymywał nadzieję w przybycie gościa, mówiąc:

„Nie dosyć gościa czekać nie dość i zaprosić: Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić, A przeducztą potrzeba dom oczyścić z śmieci, Oczyścić dom, powtarzam, oczyścić dom, dzieci!“

Otóż, spróbowaliśmy byli oczyścić; ale ciągle wypatrując gościa, nie wzięliśmy się do czyszczenia jak się należy. Lękaliśmy się go wielką gorliwością zaniepokoić; lękaliśmy się pokazać bez rękawiczek i bez fraka, z zakasanymi rękawami i boso, tak po chłopsku, jak to bywa przy ciężkiej i rzetelnej pracy.

Chociaż Napoleon nie przedstawia się już w tem uroczem dawniejszem świetle, jakiem go otaczała młodzieńcza nasza wyobraźnia, to wszakże zawsze z zajęciem czytamy wszystko, co nam dokładniej daje go poznać. Takiemi są niezawodnie Pamiętniki pani Rémusat (Mémoires de madame de Rémusat. 1802—1808. Publiés par son petit-fils Paul de Rémusat. Paris. 1880.), która jako dama honorowa i przyjaciółka Józefiny miała sposobność z bliska poznać chrakter i sposób myślenia tego człowieka, który prawie przez dziesięć lat rozporządzał losem całej Europy. Talleyrand, prezydując raz odbywającemu się skrutynjum w senacie jako wice wielki elektor, na papierze rządowym skreślił portret autorki pamiętników, Klary de Rémusat. „Umysł Klary — pisał — jest bardzo rozległy i hojnie uposażony; nie znam osoby, któraby lepiej od niej prowadziła rozmowę; jest to dowód zaufania i przyjaźni, kiedy okazuje, o ile jest wykształconą.“ Sąd ten wielkiego dyplomaty był szczery, bo pisał sam dla siebie, dla rozrywki swojej wśród nudów posiedzenia. Pamiętniki wydane obecnie sprawdzają także po części ten sąd.

Bonaparte lubił Klarę, lubił naprzód dla tego, że była to pierwsza kobieta z dawnych szlacheckich rodów, która szczerze i serdecznie zbliżyła się do jego konsulskiego dworu, i powtóre dla tego, że miał w niej rozumną i umiejętną słuchaczkę. Klara umiała słuchać kiedy Bonaparte mówił, zachęcając go żywszym wyrazem swej twarzy i swemi pobudzającemi uwagami. Była to wielka zaleta w jego oczach. Opowiadał więc jej często o swojej przeszłości, swojem usposobieniu, swoich marzeniach, swoich politycznych poglądach. Pani de Rémusat starannie pospisywała te rozmowy.

Napoleon Bonaparte, ten człowiek umysłu ściśle matematycznego i usposobień nader czynnych, był od przyrody marzycielem. Rys ten

charakteru zachowywał się w nim bardzo długo. Wszedłszy do służby wojskowej, z wielkiem zajęciem czytywał romanse i sam nawet próbował je pisać. We wszystkich marzeniach rysował swoją osobę naprzód. Rewolucja porwała go, lecz tylko dla tego, że równając dla wszystkich drogę, otwierała mu możność wyniesienia się. „Nigdy nie lubiłem — powiada — ruchów ludowych; byłem nawet zgorszony brutalnem postępowaniem tych nędzników.“ „Co sprowadziło rewolucją? próżność. Co ją zakończy? także próżność. Wolność jest tylko pretekstem. Równość to zajechała wam w głowę, i oto naród zadowolony, że ma króla z szeregów żołnierskich.“ W Egipcie Napoleon zapomniał już o Francji. „W Egipcie — powiada — pozbyłem się widziadła krępującej cywilizacji; marzyłem tam o wszystkiem i upatrywałem sposoby wykonania mych marzeń. Stwarzałem religję i widziałem, jak na słoniu, z turbanem na głowie i z nowym alkoranem w ręku, ułożonym przezemnie, jechałem ku Azji. W przedsięwzięciu mojem połączyłbym doświadczenie obu światów, wyzyskując na moją korzyść obszary wszystkich historyj, uderzając na potęgę angielską w Indjach i po zdobyciu tego kraju, wznawiając stosunki ze starą Europą. Czas, który przepędziłem w Egipcie, był najpiękniejszy w mem życiu, ponieważ był najwięcej idealny.

Bonaparte zwykle mówił ciężko: „W jego ustach włoski język tracił swój powab. Jakimkolwiek językiem mówił, wydawał się ten być mu obcym; zdawało się, że musi go gwałcić, chcąc wyrazić myśl swoją“. Zawadzały mu wszelkie prawidła, wszelka gramatyka. Kiedy się jednak ożywił, rozgadał, mowa jego zaczynała porywać słuchaczy. Same nawet zwroty błędne nadawały oryginalną cechę jego myślom. Przeciwieństwa jednak nie znosił. Stawał się wówczas milczący, roztargniony, nawet ponury.

„Nic nigdy nie pisał własną ręką. Pismo jego, źle sformowane, było nieczytelne ani dla innych ani dla niego samego. Ortografia jego była bardzo błędna. Nie miał zgoła cierpliwości do jakiejbądź czynności ręcznej; a nadzwyczajna ruchliwość jego umysłu i nawyknienie do natychmiastowego mu posłuszeństwa przeszkadzały wszelkiej czynności, gdzie jedna część jego własnej przyrody musiała ulegać drugiej. Dyktował, chodząc wielkiemi krokami po gabinecie. Jeżeli był ożywiony, wtrącał do tej mowy mnóstwo złorzeczeń gwałtownych i klął nawet, co pisząc opuszczano i co dawało możność pospieszać za nim. Nie powtarzał nigdy, co raz powiedział, chociażby nawet tego nie dosłyszano; stanowiło to nieszczęście dla sekretarza, gdyż Napoleon przypominał bardzo dobrze, co mówił i spostrzegał wszelkie opuszczenia“.

Charakter Bonapartego tak się urobił despotycznie, że zgoła nie znosił przeciwieństwa w niczem i od nikogo. Kiedy brat jego ani prośbą ani groźbą nie dał się skłonić do zerwania swego małżeństwa z panią Jouberthon, Napoleon był okropnie zmartwiony. „O północy — opowiada pani de Rémusat — Bonaparte wszedł do salonu. Był on przygnębiony i rzuciwszy się na krzesło, zawołał mocno zbolałym głosem: „Stało się! Zerwałem z Lucjanem i wygnałem go.“ A kiedy pani Bonaparte zaczęła czynić pewne przedstawienia, powstał i rzekł: „Ty jesteś dobra kobieta i bronisz go.“ I objąwszy ją, zwolna położył głowę na jej ramieniu, przyczem świetny strój jej głowy dziwnie odbijał od ponurej i smutnej jego twarzy. Opowiedział nam, jak Lucjan opierał się wszelkim jego prośbom, jak daremnie groził swemu bratu, jak bezskutecznie starał się go ująć swoją przyjaźnią. „Ciężko jednak — dodał — napotykać we własnej rodzinie podobny opór tak wielkim interesom. Trzeba więc osamotnić się od wszystkich i rachować tylko na samego siebie. A więc dobrze! Wystarczę sam sobie, a ty, Józefino, pocieszać mię będziesz we wszystkiem“.

Lecz Józefina miała więcej może niż kto inny do znoszenia od Napoleona. Bolały ją owe przechodnie miłostki, których Bonaparte wcale nie myślał ukrywać przed nią. A gdy się skarzyła, ostro odpowiadał: „Nie jestem podobny do innych ludzi, i istniejące prawa moralności lub przyzwoitości nie mogą mnie obowiązywać.“

Miłostki jego były liczne. Murat i Duroc zwykle je ułatwiali. Ciekawym jest bardzo szczegół, jak się zawiązały stosunki Napoleona z Walewską.

Mając przybyć pierwszy raz do Warszawy, Bonaparte polecił Murat'owi, aby ten ułatwił mu znajomość z jaką młoda i piękną kobietą i — jeżeli można — z rodziny szlacheckiej. Zręczny zięć Napoleona wywiązał się jak najlepiej ze swego zadania. Dwudziestoletnia kobieta, związana ze starcem, którego nie kochała, przybyła do zamku cała wzruszona i drżąca. Było to już późno w nocy. Napoleon pracował w gabinecie i, kiedy mu dano wiedzieć o przyjeździe młodej kobiety, kazał ją odprowadzić do dalszych apartamentów i zaproponować kolację. Sam pozostał w gabinecie i pracował dalej. Skończywszy swoje sprawy późno w nocy, udał się do pokojów, gdzie tak długo czekano na niego, i odrazu wystąpił w roli pana. Później, rozpoczął szczególniejszą rozmowę o politycznem położeniu Polski, wypytując młodą kobietę jakby jakiego ajenta policyjnego i żądając od niej najdokładniejszych wiadomości o wszystkich magnatach, którzy znajdowali się wówczas w Warszawie. Wypytywał pilnie, jakiemi mogły być ich opinje i ich własne prywatne interesy, i dziwne to badanie trwało długo.

Kwestje społeczne przytłumiły chwilowo interes, jaki wzbudzały całoroczne żwawe utarczki literackie. Zola nic jeszcze nie napisał takiego, coby poruszyło wszystkie żaby, kwaczące teraz sobie spokojnie po rozmaitych dziennikach. Korzystając z tej zacisznej pory, czytajmy sielanki. Taką miłą i malowniczą sielanką jest zurichska powiastka Gottfrieda Kellera p. t.: *Sztandar siedmiu,* przetłumaczona na język francuski przez panią Bentzon, znaną nowelistkę i autorkę wcale niezłej powieści: *L'obstacle.* Nowella Kellera, oprócz zwykłych dziejów zawsze młodzieńczej miłości, daje nam malowniczy obrazek życia mieszczaństwa zürichskiego. Pani Bentzon umieściła ją w zbiorku p. t.: *Récit de tous les pays* (Première Série. Paris 1879). Są to powiastki: Franzos'a, d. Herzberga-Fränkel'a, Sacher-Masoch'a, Ouidy i Bret Harte'a. Powiecie, co za dziwna zbieranina pisarzy utalentowanych z pisarzami wątpliwej wartości. Francos p. t. *Sędzia bialski* dał coś takiego, co nie wiadomo, gdzieby mogło istnieć, w każdym razie nie w okolicach Biały, gdzie — jak wiadomo — nie ma włościan Rusinów. Przytem Rusini Francos'a zowią się: Kasia, Jaśko itd. Herzberg-Fränkel miał pisać o żydach polskich, a napisał coś fantastycznego. Szkoda, że pani Bentzon nie umie prawdopodobnie po polsku. Inaczej możnaby było jej wskazać na Chaitę pani Orzeszkowej, którą drukowaliście, i z pewnością nowelistka francuska przyznałaby, że pani Orzeszkowa piękniej i wierniej od Fränkela maluje życie żydowskie.

Wiadomość o rzeczach polskich, lubo przeważnie z przeszłości dziejowej, upowszechnia w pewnej mierze pomiędzy publicznością europejską Muzeum narodowe w Rapperswylu. Zapowiada ono w przeszłorocznem sprawozdaniu przypuszczalne zorganizowanie „wydziału naukowego“, który zajmie się wydawnictwem dzieł naukowych polskich i który wszystkie ważniejsze zdobycze polskiego ducha, te pisma mianowicie, które samodzielnem badaniem rozszerzają umiejętność w ogóle, lub też wzbogacają literaturę powszechną, podawać będzie obcym narodom w tłumaczeniach na język dla nich zrozumiały. Niezawodnie myśl jest to piękna, ale bardzo wątpię, ażeby ją można było prędko zrealizować. Czy nie lepiej by było, wydawać przy Muzeum np. Revue Polonaise, któreby lepsze powieści i artykuły naukowe tłumaczyło, a przytem dawało więcej lub mniej szczegółowe sprawozdania o wszystkich wydatniejszych płodach umysłowości polskiej. Czasopismo takie, jeśliby było dobrze i bezstronnie redagowane, przyczyniłoby się bardzo do upowszechnienia wiadomości o pracach polskich, a przytem łatwiej mogłoby się utrzymać o własnych siłach.

SKARB

(Z FRANCUZKIEGO)

Na śnieżnej szyi pięknej Magdusi
Kamyczek drżał w naszyjniku,
Jak rosa w słońca promyku.
Skarb ten złotnika tak kusi,
Że idzie do niej i prosi,
Brylanty — perły jej znosi —
— Patrz! za koronki te zamień...
Za wszystkie skarby daj kamień!...

Lecz głową kręci wciąż ona...
— Nic z tego, panie złotniku!
To tron mój — moja korona —
To moje państwo w kamyku!

— Lecz kraj twój jest pognębiony,
Cierpi od nędzy i głodu!
Za kamień ten zamieniony
Chleb możesz mieć dla narodu.

Słyszysz! krzyk ludu i gwar?
I głos rozpaczy tych matek,
Co chleba żebrzą dla dziatek,
Których schylone są główki,
Jako powiędłe makówki —
Ojczyźnie swojej zrób dar!

— Złotniku! bierz — bierz co prędzej
Widzę biedaków tych zgon!
Kamyczek mój — mój skarb, mój tron...
Cierpiącej daję go nędzy!

Marja.

ZACHCIANKI NIEMIECKIE

I ŚWIATOBURCZA WYPRAWA PIKROCHOLA.

W ostatnim numerze „Tygodnia“ podaliśmy przekład senzacyjnej niemieckiej broszury pod napisem: „Wojna Niemiec przeciw Rosji i Francji w roku 1880 i 1881“, sądząc, że ciekawą będzie dla czytelników rzeczą, dowiedzieć się, jakie to zachcianki kiełkują obecnie w „państwie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów“, skitowanem za pomocą „krwi i żelaza“. Broszura ta narobiła w świecie politycznym wiele wrzawy; rozmawiając z sprawozdawcą francuskiego dziennika *»le Gaulois«* poczuł się niemiecki poseł w Paryżu, ks. Hohenlohe, zniewolonym uczynić nawet wzmiankę o tej publikacji, zapewniając, że myśli tamże wyrażone zupełnie są niemieckiemu rządowi obcemi. Wszelakoż jeżeli się zważy, że „Wojna z roku 1880 i 1881“ nie jest w piśmiennictwie niemieckiem wcale luźnym objawem, lecz że ją owszem poprzedziły znane elukubracje pana Niemana, pod napisem *»Der Vertrag von Kalisz vom Jahre 1812 und unsere Ostgrenze«*, że szanowny mąż ten dowodzi w swej rozprawie z Tacytem i Ptolomeuszem w ręku, iż zabór lewego Powiśla i Ponarwia ze względów politycznych, strategicznych i handlowych tyle pożądany nie byłby wcale grabieżą, lecz owszem rewindykacją tylko pra-starej niemieckiej dzierżawy*), natenczas trudno jest nie widzieć w pojawianiu się tych publikacji pewnego systemu, trudno w niem nie dopatrzeć zamiaru rozmarzenia niemieckiego ogółu na temat zaborczych widoków rządu. Doświadczenie uczy nas zresztą, że owym — jak się ks. Hohenlohe wyraził — „niewinnym zabawkom“ wcale ufać nie należy. Nie zapominajmy o tem, że w sposób zupełnie podobny marzyła niemiecka prasa przed duńską kampanją na temat Szlezwiku i Holzacji: *»Schleswig - Holstein meerumschlungen«* i że nie inaczej roznamiętniano umysły niemieckiego ogółu przed wojną z r. 1870 i 1871, zapalając je dla myśli zaboru Alzacji i Lotaryngji.

Czytelnicy, którzy „Kampanję z roku 1880 i 1881“ czytali w ostatnim zeszycie naszego pisma, musieli zauważyć z pewnością, jak zręcznie pod względem agitatorskim napisana jest ta broszura. Zasiadając do pisania, zdał sobie autor widocznie sprawę dokładną z tego, jakie też mogą być zdania ziomków jego o podobnej wojnie; odpowiednio też do możliwych zarzutów przyrządził on swe dowody — że tak powiemy — *à toutes les sauces*, uspakajając obawy a rozbudzając pożądliwości. Przezornym i trwożliwym dowodzi on, że wojna sprzymierzonych z Austrją Niemiec przeciwko koalicji Rosji, Francji i Włoch nie wymagałaby ofiar wielkich, i nie byłaby wcale karkołomnem przedsięwzięciem — patrjotom i szowinistycznym marzycielom wykazuje on, że wojna ta prowadziłaby do zaokrąglenia wschodniej granicy i do ostatecznego skonsolidowania się niemieckiego państwa — oszczędnym przyobiecuje on, że po wojnie nastąpiłoby zaraz pożądane rozbrojenie — chciwym przyrzeka on miljardowe kontrybucje — miłośnikom pokoju pięćdziesięcioletnią ciszę, niebywały rozkwit i olbrzymi wzrost dobrobytu. Słowem *il en a de toutes les couleurs!* A że do tych błogich owoców wojna prowadzi, więc prosty wniosek, że wojna ta jest konieczną, i że dla dóbr, której jej będą owocem, wysiłku i ofiar szczędzić nie należy.

Ale nie o tem chcieliśmy mówić dzisiaj. Zamiarem naszym jest rzucić w tę przyszłościową symfonią niemieckich marzycieli ton wesoły, a nastręcza nam sposobność ku temu wesoły proboszcz z Meudonu wielebny Rabelais, który w znanym *Żywocie Gargantuy* opowiada podobną światoburczą wyprawę, jak właśnie ta kampania z r. 1880 i 1881 która nam krew psowa w tej chwili. Przewielebny autor Pentagruela, pisząc mniej więcej w r. 1540 nie myślał wcale, że w 340 lat po nim naród cały przypisujący sobie wyłączny monopol rozsądku, uczoności, sprawiedliwości, oświaty i t. d. zechce wstąpić w ślady bohaterów jego krotochwilnej powieści, feudalnego książęcia Pikrochole'a i jego doradzców.

Tuzinkowy władzca ów, pragnąc rozszerzyć swe panowanie zwrócił pożądliwości swe przeciw niejakiemu Grandgousier (Gardłaczowi) ojcu olbrzyma Gargantuy, który zjadał wołu na śniadanie, wypijając przy tem okseft wina, a w walkach swych używał dębu zamiast maczugi. W rozdziale, który tu przytoczyć zamierzamy, opowiada wielebny proboszcz rojenia tego mikroskopijnego władzcy, w chwili gdy go doradzcy jego namawiają, aby z wojskiem swem, zaledwie kilka głów liczącem ruszył na podbicie świata. Niemcy rozporządzają wprawdzie dziś większą siłą a niżeli potężny Pikrochole, wszelakoż nie psuje różnica ta wcale analogji, pod innym względem zupełnej. To powiedziawszy oddajemy głos Rabelais'mu.

Księga I. Rozdział XXXIII.

(Jako niektórzy z rządców Pikrochole'u*) lekkomyślną radą narazili państwo to na największe niebezpieczeństwa.)

Stanęli przed władcą Pikrochole' u książęta de Menuail i hrabia Spadassin**) i rzekli mu:

Miłościwy Panie! Pragniemy uczynić Cię największym, najbardziej rycerskim monarchą, jaki kiedykolwiek istniał od śmierci Aleksandri Macedo.

Nakryjcie głowy! nakryjcie głowy! — odparł Pikrochole łaskawie.

— Dzięki Ci Panie! — rzekli — robim to cośmy robić powinni. Plan nasz jest następujący. Oto Miłościwy Panie, zostawisz tu jednego z twych kapitanów z małym oddziałkiem zbrojnych dla obrony zamku, który nam się wydaje dość silnym, tak z natury, jakoteż zostawszy obwarowanym należycie wedle Twojego pomysłu. Wojsko Twe podzielisz na dwie części wedle Twojego upodobania. Jedna część rzuci się na Grandgousiera i jego ludzi, którzy z łatwością zostaną pokonani. Tam się obierzesz pieniędzy co niemiara,***) bo cham ten ma grosza jak lodu. Cham — powiadamy — bo szlachetni książęta nie mają nigdy szeląga. Zbierać pieniądze to rzecz chamska jedynie.

— Tymczasem uderzy druga część Twych zastępów na Onys, Sanctongę, Augoulemę i Gaskonję, zawojuje Perigord, Medoc i Landy. Bez oporu żadnego opanują wojska Twe wszystkie miasta, zamki i twierdze. W Bayonne, w Saint Jean de Luc, w Fontarabii zabierzesz wszystkie okręty, i zwróciwszy się przez Galicję do Portugalji zrabujesz wszystkie nadmorskie miasta aż do Lizbony, gdzie zgromadzisz armatę potrzebną dla światoburcy. Na raz dwa podda Ci się Hiszpanja, bo to naród barbarzyński. Przejdziesz potem przez cieśninę Sybilli, gdzie postawisz dwa słupy wspanialsze od kolumn Herkulesa na wieczną pamięć Twego imienia. I będzie nazwaną cieśnina ta: Morzem Pikrochole'a.

— Zaledwie przejdziesz Morze Pikrochola a wżdy Berberowie już Twoimi są niewolnikami.

— Daruję życie ich władcy — powiada Pikrochole.

— Jeżeli przyjmie chrzest święty — odpowiadają mu jego doradcy. Potem zajmiesz odważnie Tunet, Algier, Fez, Maroko, słowem całą Berberję. Wracając ztamtąd zabierzesz Miłościwy Panie! Majorkę, Minorkę, Sardynję, Korsykę oraz wszystkie wyspy na morzu liguryjskiem i balearskiem. Zwróciwszy się później na lewo zapanujesz nad całą Galją narbońską, nad Prowancją, Allobrogami, Genuą, Florencją, Lukką, a Rzym niechaj się odda Bogu! Biedny papież jegomość umiera już ze strachu.

— Na uczciwość moją — przerywa Pikrochole — nie pocałuję go w pantofel.

— Zdobywszy Włochy, zrabujemy Neapol, Kalabrję, Apulję z Sycylją a nawet i Maltę. Niechaj spróbują tylko rycerze niegdyś rodyjscy stawić opór naszej potędze!

— Chciałbym — powiada Pikrochole — pójść do Loretu.

— Nie! nie! — odpowiadają skwapliwie radcy — to dopiero z powrotem. Z Malty wypłynąwszy zabierzemy Kandję, Cypr, Rodus, Cyklady i uderzym na Moreę. Hola trzymamy ją. Święty Inocenty! Niech Bóg ma Jerozolimę w swej opiece, bo cały Sudan nie może się równać z naszą potęgą.

— Każę — woła Pikrochole — odbudować świątynię Salamona,

— Nie — odpowiadają doradcy. Poczekaj trochę Miłościwy Panie! Nie trzeba być tak gorącym w Twych przedsięwzięciach. Czy wiesz, co mawiał Oktawian August? *Festina lente!* Wszak musisz wprzód jeszcze zawojować całą Azję mniejszą, Karję, Lizję, Pamfilję, Cylicję, Lydję, Frygję, Myzję, Bytynję, Taurydę, Anatolję, Kastamenę, Logę, Sayactę, hen! aż po Eufrates.

— A czy będziemy widzieć Babylon i górę Synaj? — pyta Pirkochole.

— Ho, ho, ho! — odpowiadają doradcy. — Niedość, żeśmy się umęczyli, przepływając morze Hirkańskie i przebiegając obiedwie Armenje, i wszystkie trzy Arabje?

— Na honor — powiada Pikrochole — szalenie się zwijamy! Biedni ludziska.

— Co? co? — pytają doradcy.

— Cóż będziem pić w tych puszczach? — pyta Pikrochole. Boć przecież Wam wiadomo, że Juljan Apostata i jego wojsko zginęło tam, jak słychać z pragnienia.

— Pomyśleliśmy i o tem odpowiadają doradcy. — Morzem syryjskiem sprowadzim 9014 największych okrętów naładowanych najlepszem wi-

*) Między dowodami przytoczonymi przez pana Niemana, na poparcie hipotezy, iż lewy brzeg Wisły jest właściwie niemiecką dzierżawą, najzabawniejszym jest wniosek, w którym autor wprowadzając Germanów Ptolomeusza z potopem w synchronistyczny związek, utrzymuje iż Wisła nie jest jednolitą rzeką, lecz dzieli się na dwie rzeki, na niemiecką, która należała do porzecza Noteci i wpadała do istniejącego jakoby wówczas Niemieckiego jeziora, i na Słowiańską, która wpadała do morza. Obie rzeki te połączyły się później dopiero w skutku geologicznych przewrotów. Był to jednak błąd natury, który naprawić potrzeba rozdzielając nowy bieg Wisły według nowej pruskiej recepty.

*) Pikrochole = Pikros ostry, chole żółć.

**) Menuail = cząsteczek, Spaddassin = rębacz

***) Obacz kampania z r. 1880—1881 12,000,000.000 kontrybucji.

nem w świecie. Okręta te wylądują w Jaffie, gdzie czekać na nie będzie dwa miljony dwakroćstotysięcy wielbłądów, oraz 1200 słoni, złapanych na polowaniu, które urządzim, wkraczając do Libji. — Zresztą czyż nie zrabujem karawany, udającej się do Mekki? Słowem napitek jest zabezpieczonym zupełnie.

— Ale — przerwie tutaj Pikrochole — nie będziem mieć świeżego trunku.

— Ba — odpowiadają mu na to doradcy — trudno! Światoburca zamierzający zawojować całą ziemię, nie może mieć zawsze wszystkich wygód. Dziękować raczej należy Bogu, że Wasza Mość i wojsko jego doszliście w zdrowiu i całości aż do rzeki Tiger.

— Ale — zapyta wtedy Pikrochole — cóż się dzieje z drugą częścią naszego wojska, która pokonała tego pijaka Graudgousiera i jego ludzi?

— Ho, ho! — odpowiedzą na to doradcy i oni nie próżnują także. Spotkamy się z nimi niebawem. Zawojowawszy Bretanję, Normandję, Flandrję, Hainaut, Brabant, Artois, Holandję, i Zelandję, wojska te przekraczają Ren przechodząc po brzuchach Szwajcarów i landsknechtów niemieckich. Jedna część tych zastępów opanuje Luksemburg, Lotaryngję, Szampanią hen, aż do Lugdunu, i połączy się tamże z wojskiem, powracającem z wyprawy na Morze śródziemne. Wojska te skoncentrują się potem w Czechach, zrabowawszy wpierw Szwaby, Würtenberg, Bawarję, Rakuzy, Morawę i Styrję, i rzucą się odważnie na Lubekę, Norwegję, Szwecję, Danję, Gotland i Grenlandję, wojując estońskie ludy aż do Lodowatego Morza. Następnie zawojują one wyspy Okhady, Szkocję, Anglję i Irlandję i ztamtąd zaś przepłynąwszy Morze Piaszczyste i przebywszy Sarmacją uderzą one na Prusy, Polskę, Litwę, Moskwę, Multany, Siedmiogród, Węgry, Bulgarję, Turcję, i pokonawszy po drodze wszystko, dotrą aż do Stambułu.

— Prędko! prędko! Łączmy się z nimi — zawoła Pikrochole — bo chciałbym także być cesarzem Trebizondy.

— Co zrobimy z Turkami i Mahometanami? — pytają doradcy. Czy nie należałoby wyciąć ich w pień wszystkich, a dobra ich i majątki rozdać tym, którzy wiernie Ci służyli, Miłościwy Panie?

— Oczywiście — odpowiada Pikrochole — tego wymaga roztropność i słuszność! Wam moi kochani daruję Syrję, Arabię, i całą Palestynę!

— Dzięki Ci Miłościwy Panie! — odpowiadają doradcy. Niechaj Bóg szczęści zawsze zamiarom Waszmości.

A był tam u dworu Pikrochola szlachcic w sztuce wojennej i w azardach wszelkich wielce doświadczony, prawdziwy wojak zwany Echepheronem, co znaczy roztropny. Ten słysząc mowę taką, zabrał głos i tak rzecze: Hej! hej! Obawiam się bardzo aby ta wyprawa nie stała się podobną do sławnej krotochwili z garnkiem mleka, nad którym szewc pewien, marząc, opierał nadzieje swoje, obliczając jak wielce się zbogaci. Niestety garnek wywrócił się przypadkiem, a gdy się mleko wylało, nie miał biedny szewczysko nawet co zjeść na wieczerzę. A powiedźcież mi panowie z łaski Waszej, jakimże jest cel tylu trudów, i wojen tak świetnych?

— Celem naszym jest — odpowiedzieli doradcy — abyśmy powróciwszy do domu mogli zażyć spokoju.

— A jeżelibyśmy nie powrócili z tak dalekiej wyprawy? powie Echepheron na to, bo trzeba Wam wiedzieć, że to wyprawa nie lada niebezna. Czyż nie lepiejby było zażywać spokoju teraz, nie narażając się na tyle azardów.

Tutaj na razie urywa się wątek analogji, w Niemczech bowiem nie ma w tej chwili takiego chepherona, któryby przemówił roztropnie. Tem więc prawdopodobniejszem jest że wątek przerwanej Eanalogji nawiąże się znowu, i że potężny jakiś Gargantua, waląc dębową maczugą, uspokoi gorączkowo rozmarzonego Pikrochola.

Quidam.

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XVI.

Dwaj Francuzi przeciw jednemu miastu.

Kiedy wiadomość o zniknięciu Schulutze'a doszła do Francji-Miasta, pierwsze słowa Marcelego były:

— A może to podstęp wojenny?

Naturalnie, że zastanowiwszy się, musiał przyznać, że skutki podobnego podstępu byłyby niebezpieczne dla Stahlstadt'u, ze loicznie trudno było zrobić podobne przypuszczenie. Ale wiedział również, że nienawiść nie rozumuje i że rozjątrzona nienawiść może w danym razie uczynić takiego człowieka jak Herr Schultze zdolnym do poświęcenia wszystkiego dla namiętności. Bądź co bądź, należało trzymać się na ostrożności.

Na jego prośbę, Rada obrony natychmiast wydała proklamacją, wzywając mieszkańców, by nie wierzyli fałszywym wiadomościom, które nieprzyjaciel rozsiewa, chcąc uspić ich czujność.

Roboty i ćwiczenia wojenne, z większym niż kiedy zapałem wykonywane, były odpowiedzią, którą Francja - Miasto dała temu, co mogło być podstępem Herr Schultze'a. Ale szczegóły prawdziwe czy fałszywe, podawane przez dzienniki z San - Francisco, Chicago i Nowego Yorku, finansowe i handlowe następstwa katastrofy zaszłej w Stahlstadzie, wszystkie te dowody niepochwytne, mało znaczące gdy są oddzielne, a potężne gdy się skupią w całość jedną, nie pozostawiały żadnej wątpliwości.

Pięknego poranku miasto doktora obudziło się ocalone stanowczo jak śpiący, który budząc się, zostaje uwolnionym od ciężkiego snu. Tak! Francja - Miasto wyszło z niebezpieczeństwa, nie wydobywszy oręża nawet; doszedłszy nareszcie do tej zupełnej pewności, Marceli ogłosił tę wiadomość rozmaitymi sposobami, jakimi rozporządzał.

Wywołało to ogólne uczucie radości i ulgi. Ściskano się za ręce, winszowano sobie, zapraszano się na objad. Kobiety pokazywały się w świeżych strojach, mężczyzni chwilowo zaniechali ćwiczeń, manewrów i robót. Wszyscy byli uspokojeni, zadowoleni, promieniejący. Było to niby miasto ludzi przychodzących do zdrowia.

Ale najbardziej zadowolonym ze wszystkich był bez zaprzeczenia doktor Sarrasin. Zacny ten człowiek uważał się odpowiedzialnym za los tych wszystkich, którzy z ufnością osiedlili się na jego gruncie i pod jego oddali opiekę. Od miesiąca obawa, że ich przyprowadził do zguby, on, który szczęście ich tylko miał na celu, nie dawała mu spokoju. Nakoniec uwolnionym został od strasznego tego niepokoju i swobodnie odetchnął.

Wspólne niebezpieczeństwo ściślej zjednoczyło wszystkich obywateli. Wszystkie klasy zbliżyły się więcej do siebie, uznano się za braci, których jedne uczucia ożywiały, jedne interesa łączyły. Wszyscy czuli, ze serca ich bić zaczęły dla nowej myśli, nowego wrażenia. Dla mieszkańców Francji - Miasta powstała „ojczyzna". Obawiano się o nią, cierpiano dla niej i lepiej zrozumiano tę miłość, którą ona budziła w ich sercu.

Zaprowadzenie w mieście środków obrony okazało się też bardzo korzystne w swych skutkach. Poznano własne siły. W danym razie nie potrzebowano już tworzyć ich. Znalazła się pewność siebie. Na przyszłość, na wszelki wypadek, przygotowanoby się natychmiast do wszystkiego.

Dzieło doktora Sarrasin zdawało się mieć świetniejszą niż kiedy przyszłość przed sobą. I rzecz dziwna, niewdzięczność nie spotkała Marcelego. Chociaż nie on był przyczyną ocalenia, złożono mu jednak publiczne podziękowanie jako organizatorowi obrony, temu, którego poświęceniu się miasto byłoby zawdzięczało swój ratunek, gdyby zamiary Herr Schultze'a były przyszły do skutku.

Marceli jednak sądził, że rola jego nie skończyła się jeszcze.

Tajemnica, otaczająca Stahlstadt, mogła jeszcze ukrywać niebezpieczeństwo jakie, myślał sobie. I nie mógłby się uspokoić, dopokąd nie rozjaśniłyby się ciemności, które otaczały jeszcze Stalowe miasto.

Postanowił zatem wrócić do Stahlstadtu i nie cofnąć się przed niczem, dopóki nie dojdzie słowa tej ostatniej zagadki jego.

Napróżno doktor Sarrasin przedstawiał mu, że rzecz jest trudna, może nawet bardzo niebezpieczna: że sam wlazłby do piekła; że nie wiadomo, jaka przepaść otworzyć się może pod stopami jego... Herr Schultze, tak jak on sam mu go opisywał, nie był człowiekiem, mogącym bezkarnie zniknąć przed światem i zakopać się pod gruzami nadziei swoich... Można było wszystkiego obawiać się od ostatniej myśli takiego człowieka... Myśl ta mogła przypominać straszny zgon rekina!.,.

— Właśnie dlatego, kochany doktorze, że wszystko to, co wyobrażasz sobie, jest możebnem — odpowiedział mu Marceli — uważam za obowiązek mój, udać się do Stahlstadtu. Do mnie należy wyrwać lont, zanim bomba pęknie, a nawet będę prosił o pozwolenie zabrania z sobą Oktawjusza.

— Oktawjusza! — zawołał doktor.

— Tak! Zrobił się z niego dzielny chłopiec, na którego można rachować, i upewniam cię doktorze, że przechadzka ta posłuży mu bardzo!

— Niechże was obu Bóg ma w swojej opiece! — odpowiedział wzruszony starzec całując go.

Nazajutrz rano, Marceli i Oktawjusz, przejechawszy opuszczone wioski, wysiedli z powozu przed bramą Stahlstadtu. Obydwaj dobrze byli zaopatrzeni, dobrze uzbrojeni, obydwaj mocne mieli postanowienie nie wrócić do siebie, zanim nie wyjaśnią tajemnicy.

Szli jeden obok drugiego drogą, która zewnątrz biegła dokoła szańców; prawda, której Marceli nie chciał uwierzyć dotąd, ukazywała mu się teraz w całej swej grozie.

Fabryka stanęła; aż nadto widocznem to było.

Gdyby tak dawniej jak teraz szedł w noc ciemną, bez żadnej gwiazdki na niebie, byłby zdaleka ujrzał światło gazu, połysk bagnetu stojącej warty, tysiące oznak życia, których teraz brakło zupełnie. Oświecone okna budynków migotałyby tysiącem świateł. Teraz wszystko było ciemne i głuche. Śmierć tylko zdawała się krążyć po nad miastem, którego wysokie kominy jak szkielety sterczały na widnokręgu. Kroki Marcelego i jego towarzysza wydawały odgłos jak na pustyni. Wrażenie samotności i spustoszenia tak było silne i dojmujące, że Oktawjusz zawołał:

— Dziwna rzecz, nigdy jeszcze nie spotkałem się z podobną ciszą! Możnaby pomyśleć, żeśmy na cmentarzu!

Siódma była, kiedy Marceli i Oktawjusz stanęli nad fosą naprzeciw głównej bramy Stahlstadtu. Ani jednej istoty nie było widać na szczycie murów, ani śladu najmniejszego warty, która dawniej w pewnych od siebie odstępach stała, jak słupy ludzkie. Zwodzony most był podniesiony, a przed bramą leżała przepaść szeroka na pięć lub sześć metrów.

Młodzi ludzie godzinę całą strawili, zanim umocowali kawałek liny, zarzucając ją z całej siły na jedną z belek. Kiedy po wielu trudach udało się to nareszcie zrobić Marcelemu, Oktawjusz, zawiesiwszy się na linie, rękami czepiając się jej, dostał się aż do dachu bramy. Poczem Marceli podawał mu z kolei broń i zapasy, wreszcie sam udał się tąż drogą.

Trzeba było następnie przerzucić linę na drugą stronę muru i wszystkie *impedimenta* spuścić w taki sposób, w jaki je poprzednio podniesiono do góry i nakoniec zsunąć się samym na ziemię.

Młodzi ludzie znaleźli się takim sposobem na drodze, którą Marceli przebywał pierwszego dnia za wstąpieniem swojem do Stahlstadtu. Cisza i milczenie zupełne panowały tu teraz. Przed nimi wznosiła się czarna i niema masa zabudowań, których oszklone okna zdawały się patrzeć na natrętów, jak gdyby mówiąc:

„Idźcie ztąd precz!... Po co wam tajemnice nasze, które przeniknąć chcecie!“

Marceli i Oktawjusz złożyli naradę.

— Najlepiej będzie udać się do bramy O, którą znam już — rzekł Marceli.

Skierowali się w zachodnią stronę i wkrótce stanęli przed wielką arkadą, na froncie której wyryta była litera O. Obie połowy ciężkich dębowych drzwi, z wielkimi stalowymi gwoździami zamknięte były. Marceli zbliżył się i uderzył w nią razy kilka kamykiem, który podniósł był na drodze.

Echo tylko odpowiedziało mu.

— No! do roboty! — zawołał do Oktawjusza.

Trzeba było powtórzyć ciężką robotę z rzucaniem liny po za bramę, szukając za co dałoby się ją uczepić. Trudności było przytem niemało, Ale nakoniec Marceli i Oktawjusz przebyli ten mur także i znaleźli się w oddziale O.

— Tak! — zawołał Oktawjusz — do czego to posłuży? Dalekośmy zaszli! Przebywszy jeden mur, znajdziemy drugi przed sobą!

— Cicho w szeregach! — odrzekł Marceli — Oto i moja dawna pracownia. Miło mi będzie zajrzeć do niej i wziąść ztamtąd kilka narzędzi, których zapewne potrzebować będziemy, niezapominając również o dynamicie.

Była to wielka sala wylewów, gdzie młody Alzatczyk był przyjęty za wstąpieniem swojem do fabryki. Jakże ponuro było tu teraz; piece wygasłe, relsy zardzewiałe, windy kurzem pokryte i wznoszące ku górze swoje wielkie ramiona jak gdyby szubienice! Widok ten mroził serca i Marceli uczuł potrzebę jakiejś dywersji:

— Oto pracownia, która cię więcej zajmie — rzekł do Oktawjusza, prowadząc go do szynku.

Oktawjusz z zadowoleniem spostrzegł tu na drewnianej pułce szereg cały flaszek czerwonych, żółtych i zielonych Kilka puszek z konserwami połyskiwało białą swą blachą. Było z czego urządzić śniadanie, którego potrzeba dawała się czuć zresztą. Młodzi ludzie zasiedli zatem przy kantorze i posiliwszy się, nabrali świeżych sił do dalszej wyprawy.

Marceli jedząc myślał, co miał dalej robić. Niepodobna było marzyć o wdarciu się na mur Centralnej dzielnicy. Mur ten bardzo był wysoki, odosobniony od wszystkich innych zabudowań i tak gładki, że nie było o co zaczepić na nim liny. Żeby znaleść bramę jego — prawdopodobnie jedną tylko miał — trzeba było zwiedzić wszystkie oddziały, a to nielatwem było. Pozostawało zatem użyć dynamitu, rzeczy ryzykownej, bo zdawało się niepodobieństwem, by Herr Schultze zginął, nie pozostawiwszy za sobą żadnej zasadzki, nie przygotowawszy kontrminy, przeciwko tym, którzy po jego oddaleniu się zechcą opanować Stahlstadtem. Wszystko to jednak nie mogło odstraszyć Marcelego.

Widząc, że Oktawjusz posilił się i odpoczął, Marceli udał się z nim na koniec ulicy, aż do stóp wielkiego muru z kamienia cisowego.

— Co powiedziałbyś o zrobieniu tutaj podkopu? — zapytał.

— Ciężko to będzie, ale nie jesteśmy leniuchami! — odpowiedział Oktawjusz, gotów do wszystkiego.

Robota zaczęła się. Trzeba było odrzucić ziemię z pod muru, wprowadzić drąg w szparę między dwa kamienie, wyrwać z nich jeden i nakoniec, za pomocą świdra, wybić kilka małych równoległych otworów. O dziesiątej wszystko już było gotowe, kiszki z dynamitem umieszczone i lont zapalony.

Marceli wiedział, że lont będzie palić się pięć minut, a że zauważał był poprzednio, iż szynk, umieszczony w suterenach, tworzy sklepioną piwnicę, tam więc schronił się z Oktawjuszem.

Nagle, budynek i piwnica zadrżały, jak gdyby wskutek trzęsienia ziemi. Zaraz potem nastąpił straszny huk, jak gdyby wystrzał z trzech lub czterech dział od razu. Potem, po dwóch lub trzech sekundach, grad gruzów posypał się na ziemię ze wszystkich stron.

Przez kilka następnych minut słychać było tylko przeciągły grzmot zapadających się dachów, trzask belek, huk walących się murów i brzęczącą kaskadę stłuczonych szyb.

Nakoniec straszny ten hałas przycichł. Oktawjusz i Marceli wyszli ze schronienia swego.

Marceli, chociaż oswojony z nadzwyczajnymi skutkami wybuchających ciał, zadziwił się jednak, ujrzawszy teraz ich rezultat. Zburzone mury wszystkich pracowni w pobliżu Centralnego oddziału podobne były do zbombardowanego miasta. Gruzy, odłamy szkła, szczątki gipsu zaścielały ziemię dokoła; chmury kurzu, wyrzucone w górę, opadały powoli, pokrywając jakby śniegiem ruiny te.

Marceli i Oktawjusz pobiegli do wewnętrznego muru. Ten także zniszczony był na szerokość piętnastu do dwudziestu metrów; po drugiej stronie wyłomu Alzatczyk ujrzał dziedziniec znany mu dobrze, dziedziniec, na którym przepędził niegdyś tyle monotonnych godzin.

Na dziedzińcu nie było również żadnej straży, a zatem łatwo było przebyć kratę, która go opasywała... Młodzi ludzie znaleźli się wkrótce po drugiej stronie kraty.

Wszędzie panowała ta sama cisza.

Marceli przejrzał pracownie, w których koledzy podziwiali niegdyś rysunki jego. W jednym z jej kątów znalazł na desce rysunek machiny parowej, którą był rozpoczął, kiedy z rozkazu Herr Schultze'a został przywołany do parku. W czytelni znalazł znajome książki i dzienniki.

Na wszystkiem była cecha wstrzymanych prac i życia nagle przerwanego.

Dwaj młodzieńcy doszli do wewnętrznej granicy Centralnej dzielnicy i znaleźli się wkrótce u stóp muru, który, jak Marceli sądził, oddzielał ich od parku.

„Czy i tym kamieniom znowu trzeba będzie kazać skakać? — zapytał Oktawjusz.

— Może być.. ale chcąc wejść, moglibyśmy najprzód poszukać furtki, którą prosta raca wysadzi w powietrze.

Obydwaj zaczęli iść wzdłuż muru, otaczającego park. Od czasu do czasu musieli zbaczać, obchodzić do koła budynki, które jak ostrogi przytykały do muru, albo przełazić przez kratę. Nigdy jednak nie tracili z oka celu swego i wkrótce trudy ich zostały wynagrodzone. Mała furtka, niska i ciemna, ukazała się w murze.

W dwie minuty, Oktawjusz zrobił świdrem dziurę w deskach dębowych. Marceli przyłożył natychmiast oko do otworu tego i z wielkiem zadowoleniem ujrzał po drugiej stronie zwrotnikowy park z wieczną zielonością i wiosenną temperaturą.

—Jeszcze te drzwi wysadzimy i dostaniemy się nareszcie do fortecy! — rzekł do swego towarzysza.

— Raca dla tej deski drzewa — odpowiedział Oktawjusz — za wiele byłoby honoru!

I zaczął drągiem silnie podważać drzwi.

Zaledwie wstrząsnął niemi, kiedy od wewnętrznej strony w zamku zazgrzytał klucz i dwa rygle odsunęły się.

Drzwi otwarły się na wpół, od wewnątrz bowiem przytrzymał je gruby łańcuch.

— *Wer da?* (kto tam?) — spytał głos chrapliwy.

---

*

ROZDZIAŁ XVII.

Rozmowa wystrzałami.

Młodzi ludzie nie spodziewali się wcale podobnego pytania. Więcej może zdziwiło ich ono, jak wystrzał pistoletu, gdyby go byli usłyszeli.

Ze wszystkich przypuszczeń, jakie Marceli robił co do tego miasta, pogrążonego w letargu, jedno tylko nie przyszło mu do głowy: by żyjąca istota spytała go, po co tu przyszedł? Jego wdarcie się tutaj godziwe prawie, jeżeliby przypuścić, że Stahlstadt zupełnie był pusty, w innej zupełnie przedstawiało się postaci, jeżeli miasto posiadało jeszcze mieszkańców. To, co w pierwszym razie zdawało się być tylko rodzajem archeologicznej ciekawości, w drugim stawało się zbrojną napaścią i gwałtem.

Wszystkie te myśli nasunęły się Marcelemu z taką siłą, że na razie nie mógł przemówić słowa.

— *Wer da?* — powtórzył głos z pewną niecierpliwością.

Niecierpliwość dosyć naturalna była. Przezwyciężyć tyle rozmaitych przeszkód, stojących na drodze do tych drzwi, wdzierać się na mury, wysadzać w powietrze budynki i potem wszystkiem nie umieć nic odpowiedzieć na proste pytanie: Kto tam? było to w istocie dosyć dziwne.

Marceli natychmiast pojął, w jak fałszywem położeniu znajduje się, i zaraz odpowiedział po niemiecku:

„Przyjaciel czy nieprzyjaciel, jak chcesz! Chcę pomówić z Herr Schultze'm.

Zaledwie wyrzekł te słowa, wykrzyknik zadziwienia dał się słyszeć przez drzwi uchylone:

„Ach!

Tu Marceli ujrzał przez otwór kawałek czerwonych faworytów, najeżony wąs, ogłupiałe oko; poznał je natychmiast. Wszystko to należało do Sigimera, dawnego strażnika jego.

„Johann Schwartz! — zawołał olbrzym ze zdumieniem, połączonem z radością, Johann Schwartz!"

Niespodziany powrót więźnia zdawał się go na tyleż dziwić, na ile zapewne dziwiło tajemnicze zniknięcie jego.

— Czy mogę pomówić z Herr Schultze'm? — powtórzył Marceli, nie mogąc się doczekać innej jak ten wkrzyknik odpowiedzi.

Sigimer potrząsł głową.

— Nie ma rozkazu! — rzekł. — Wejść tutaj nie bez rozkazu!

— Czy możesz przynajmniej zawiadomić Herr Schultze'a, że jestem tutaj i chcę z nim pomówić?

— Herr Schultze tutaj nie! Herr Schultze odjechać! — odrzekł olbrzym z odcieniem smutku.

— Ale gdzież jest? Kiedy wróci?

— Nie wiedzieć? Rozkaz nie zmienić! Nikogo wejść bez rozkazu!

Marceli nic więcej nie mógł wydobyć z Sigimera, który na wszystkie pytania jego ze zwierzęcym uporem, odpowiadał temi przerywanemi słowami. Oktawjusz zniecierpliwił się nareszcie.

— Na co prosić o pozwolenie wejścia? — rzekł Daleko prościej wziąć je gwałtem!

I pchnął drzwi, próbując wysadzić je. Ale łańcuch stawił opór; z większą niż Oktawjusza siłą przyciśnięto drzwi z drugiej strony i zamknięto je zasuwając rygle.

— Musi ich być kilku za tą deską! — zawołał Oktawjusz, upokorzony trochę tym rezultatem.

Przyłożył oko do dziury zrobionej świdrem i wydał okrzyk zadziwienia:

— Jest tam drugi olbrzym!

— Arminius? — odpowiedział Marceli.

I z kolei popatrzał przez otwór.

— Tak! to Arminius, kolega Sigimera!

Nagle, głos który zdawał się spadać z nieba, odezwał się po nad głową Marcelego.

— *Wer da?* pytał.

Był to Arminius.

Głowa olbrzyma wystawała po nad murem, na który dostał się zapewne za pomocą drabiny.

— No! Arminius, widzisz przecie kto; — odpowiedział Marceli. Otworzysz czy nie?

Nie dokończył tych słów, kiedy lufa fuzji pokazała się, na szczycie muru, i kula gwizdnęła koło kapelusza Oktawjusza.

— Kiedy tak, to masz odpowiedź na to! — zawołał Marceli, i podłożywszy kiszkę dynamitu pod drzwi, rozsadził je z trzaskiem.

Marceli i Oktawjusz z karabinem w ręku i nożem w zębach rzucili się przez zrobiony wyłom do parku.

Koło ściany muru, porysowanego wybuchem, stała jeszcze drabina, a u stóp jej widać było ślady krwi. Ale nikt nie bronił już przejścia; olbrzymów nie było.

Przed dwoma napastnikami rozwijała się wspaniała roślinność ogrodów. Oktawjusz był zachwycony.

— Przepyszne!... — mówił.— Ale baczność!... Rozsypmy się jak tyraliery!... Ci zjadacze kapusty mogli się pochować za krzakami!

Oktawjusz i Marceli rozdzielili się i, idąc każdy osobno bokiem drogi, która otwierała się przed nimi, posuwali się z ostrożnością, od drzewa do drzewa, od przeszkody do przeszkody, podług zasad najpierwotniejszej strategji osobistej.

Ostrożność ta bardzo się przydała. Nie uszli stu kroków nawet, kiedy drugi wystrzał dał się słyszeć. Kula zerwała korę z drzewa, które Marceli zaledwie co opuścił był.

— Bez głupstw!... Na ziemię! — rzekł Oktawjusz półgłosem.

I łącząc przykład z przepisem, na kolanach i łokciach podpełzł do ciernistego krzaku, rosnącego koło placu, na środku którego wznosiła się wieża Byka. Trzeci wystrzał skierowany był przeciw Marcelemu, który nie dosyć prędko poszedł za radą przyjaciela, i zaledwie miał czas ukryć się za pniem palmy, kiedy czwarty strzał padł.

— Szczęście, że te bydlęta strzelają jak rekruci! — zawołał Oktawjusz do towarzysza, od którego dzieliło go ze trzydzieści kroków.

— Cyt! — odpowiedział Marceli ustami i oczami. Czy widzisz dym, który wychodzi z tego okna, na dole?... Tam się zaczaili, zbóje!... Ale ja z nimi zagram po mojemu!

W mgnieniu oka Marceli urznął u krzaka tyczkę stosownej długości; potem zdjąwszy swój kaftan zarzucił go na kij, na wierzchołek kija wsadził kapelusz i tak sporządziwszy nie złego manekina, ustawił go na swojem miejscu tak, by kapelusz i rękawy widoczne były i, przypełzłszy do Oktawjusza, szepnął mu na ucho:

— Zabaw ich tutaj, strzelając do okna, raz z twego miejsca, drugi raz z mego! Ja zajdę ich z tyłu!

I pozostawiwszy Oktawjusza strzelającego, ostrożnie wśliznął się w gąszcz drzew, okalających plac.

Minął kwadrans, w ciągu którego ze dwadzieścia kul przesłano sobie wzajemnie bez żadnego rezultatu.

Kaftan Marcelego był literalnie podziurawiony kulami; ale osoba jego nic na tem nie ucierpiała. Karabin Oktawjusza potrzaskał na drobne kawałki żaluzje dolnego piętra.

Nagle, ogień ustał, i Oktawjusz usłyszał wyraźnie przytłumiony krzyk:

— Do mnie!... Trzymam go!...

W jednej chwili Oktawjusz wyskoczył ze schronienia swego, przeleciał plac, rzucił się do okna gmachu i wpadł do salonu.

Na dywanie Marceli i Sigimer, trzymając się w objęciach jak dwa węże, walczyli z sobą na śmierć. Zaskoczony przez nieprzyjaciela, który niespodzianie otworzył wnętrzne drzwi, olbrzym nie mógł użyć broni swej. Ale herkulesowa siła jego czyniła zeń strasznego przeciwnika jeszcze, który chociaż obalony na ziemię, nie tracił jednak nadziei zwycięstwa. Marceli, ze swej strony, okazywał siłę i giętkość niezwykłą.

Walka musiałaby się skończyć śmiercią jednego z walczących, gdyby przybycie Oktawjusza nie sprowadziło mniej tragicznych następstw. Sigimer, pochwycony za ręce i rozbrojony, został związany tak, że nie mógł się poruszyć.

— A drugi? — zapytał Oktawjusz.

Marceli wskazał na sofę w końcu pokoju; gdzie Arminius leżał cały zakrwawiony.

— Czy kula trafiła go? — spytał Oktawjusz.

— Tak — odrzekł Marceli.

I zbliżył się do Arminiusa.

— Nie żyje! — rzekł.

— Na honor, dostało się łotrowi to tylko, na co zasłużył! — zawołał Otawjusz.

— Otóż jesteśmy panami twierdzy! — odrzekł Marceli. Przystąpimy teraz do starannej rewizji. Najprzód gabinet Herr Schultze'a!

Młodzi ludzie wyszli z salonu, w którym odbyła się ostatnia scena oblężenia, i udali się szeregiem pokojów, prowadzących do przybytku Stalowego króla.

Oktawjusz zachwycał się przepychem, który widział dokoła.

Marceli uśmiechał się, patrząc na niego, i otwierał drzwi jedne po drugich, aż do salonu zielono złotego.

Spodziewał się wprawdzie, że znajdzie w nim coś nowego, ale nie wyobrażał sobie nic podobnego jak to, co miał w tej chwili przed oczami swemi. Możnaby pomyśleć, że centralne biuro poczt w New-Yorku albo w Paryżu nagle rozbite zostało i bezładnie wrzucone do salonu tego. Listy i pakiety opieczętowane leżały wszędzie; na biurze, na meblach, na dywanie. Nogi grzęzły w tej zaspie. Cała korespondencja finansowa, przemysłowa i osobista Herr Schultze'a, codziennie wyjmowana z zewnętrznej puszki parku i wiernie znoszona przez Arminiusa i Sigimera, znajdowała się w gabinecie pana.

Ile zapytań, ile cierpień, niespokojnego wyczekiwania, trosk, łez, zamykało się w tych niemych kopertach pod adresem Herr Schultze'a. Ile też, zapewne, milionów, w papierach, czekach, mandatach, skryptach różnego rodzaju!... Wszystko to spało tam, unieruchomione nieobecnością

jedynej ręki, która miała prawo rozedrzeć koperty tak wątłe a jednak nienaruszalne.

— Teraz — rzekł Marceli — trzeba odnaleść skryte drzwi laboratorjum!

I zaczął wyjmować wszystkie książki z bibljoteki. Naprożno. Nie mógł znaleść ukrytego przejścia, którem szedł kiedyś w towarzystwie Herr Schultze'a. Nadaremnie wstrząsał wszystkie ścianki szafy po kolei, wreszcie wziąwszy pręt z komina, powysadzał je jedno po drugiej! Naprożno pukał w mur, szukając po za nim próżni! Widocznie Herr Schultze, zaniepokojony tem, że nie on sam tylko posiadał tajemnicę ukrytych drzwi laboratorjum, zniósł je zupełnie.

Ale naturalnie, musiał zrobić inne na ich miejsce.

— Gdzie?... — pytał siebie Marceli. Nie gdzie indziej jak tutaj, bo Arminius i Sigimer tutaj znosili listy! W tej zatem sali Herr Schultze po moim wyjeździe przesiadywał jak dawniej! Znam dobrze jego zwyczaje i wiem, że kazawszy zamurować jedno przejście, chciał mieć pod ręką inne, nieznane ciekawym!... Może pod dywanem znajduje się spust?

Dywan był równo i gładko rozciągnięty. Nie zważając na to, powyjmowano gwoździe i podniesiono go. Na posadzce, pomimo najściślejszego badania, nie znaleziono nic podejrzanego

— Któż ci mówi, że drzwi znajdują się w tym pokoju — spytał Oktawjusz.

— Moralnie przekonany jestem o tem! — odpowiedział Marceli.

— A zatem pozostaje nam jeszcze zrobić poszukiwania na suficie — rzekł Oktawjusz, stając na krześle.

Miał zamiar dostać się do pająka i ztamtąd kolbą fuzji zbadać środkową rozetę.

Ale zaledwie uczepił się złoconego kandelabra, kiedy ten, z wielkiem podziwieniem jego, zaczął opuszczać się na dół pod naciskiem ręki. W suficie ukazał się otwór, przez który lekka stalowa drabinka automatycznie osunęła się aż do samej posadzki.

Było to jak gdyby zaproszenie do wejścia.

— Chodźmy! Jesteśmy u celu! — rzekł spokojnie Marceli i wskoczył na drabinkę, a za nim przyjaciel jego. (D. n.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Rada miejska. Kasy zaliczkowe Język urzędowy. Macierz Polska. Stowarzyszenie pracy kobiet. Spójnia. Benefis p. Wisniowskiej. Chór Towarzystwa muzycznego. Świtezianka p. Błotninkiego.)

Chodzi po mieście wersja, że Rada miejska dlatego tak ciężki poród miała prezydenta, że podczas wyborów nie było na niej dra Czyżewicza. Bądź cobądź obeszło się jakoś bez użycia innych narzędzi prócz języków, i dostaliśmy na zwierzchnika Lwowa p. adwokata Gnoińskiego. Wiadomo, że ostatnie wybory do Rady miejskiej odbyły się pod hasłem Łączności i Zgody. Jedna część tego hasła i druga miały oddzielnych przywódców w osobach księdza Stojałowskiego i profesora Ciesielskiego; teraz więc, kiedy przy wyborze prezydenta owa Łączność i Zgoda starły się trochę z sobą, radzibyśmy wiedzieć, kto na przyszłość będzie Seperatką, a kto Niezgodą.

Publicystyka lwowska na nową Radę patrzy coś bardzo krzywem okiem, radzimy jej więc, aby dla swego bezpieczeństwa postarała się przedewszystkiem o odebranie policji pod swój zarząd. Zawsze to lepiej mieć cenzurę czynną i bierną w swoim ręku, a my zwyczajni śmiertelnicy tyle zyskamy, że przynajmniej listy do nas adresowane odbierać będziemy do rąk własnych, bez pośrednictwa osób nieinteresowanych, jak się to dotąd przytrafiało.

W dalszym ciągu małej polityki lwowskiej, zajmowaliśmy się w tym tygodniu sprawozdaniami z kas zaliczkowych, które pomimo różnych wydatków na koszta administracji, na tantiemy i inne potrącenia, dały uczestnikom dość piękną dywidendę 9%. Szanowni panowie rządcy tych wzorowo zresztą prowadzonych instytucji, czy to czasami nie za wiele tego dobrego? Wszak inne banki już nie chcą płacić drożej od wkładek jak w stosunku 4½% rocznie, a zatem czyby nie wypadało biorącym pożyczki z kas waszych zniżyć cokolwiek stopę procentową; jesteśmy bowiem przekonani, że członkowie towarzystw waszych, kontentowaliby się siódmym procentem, a pożyczający mogliby trochę odetchnąć. Cel i przeznaczenie towarzystw zaliczkowych nie koniecznie leży w tem, aby jedna połowa stowarzyszonych, i to połowa potrzebująca, składała się drugiej połowie na płacenie wysokich procentów — musi tam być jeszcze co innego... Panowie zarządzający prosimy zwrócić na to uwagę.

Koncerta, odczyty i różne produkcje na cele dobroczynne i benefisy idą w ciągu postu nieprzerwaną koleją. Panna Wisnowska, artystka, wyrażając się słowami „Czasu" przyjemnej aparycji, jest teraz w modzie. Benefis jej zapełnił teatr od stóp do głów, a nawet podobno jeszcze niżej, bo zajęto miejsca dla orkiestry przeznaczone. Organa miejscowej prasy wyrażają się, że został *cały wysprzedany;* nie wiemy, czy to dobrze powiedziano po polsku, bo w takim razie musiałby być na drugi dzień znowu wykupiony — a o tem nie słyszeliśmy, aby dyrekcja prowadziła tego rodzaju handel kupna i wyprzedaży bez końca.

Już to pod względem czystości języka, literatura w Galicji, a szczególniej urzędowa, nie może się poszczycić wielkim purytanizmem. Wpadła nam w tych dniach do ręki ustawa o kwaterunkach, jak się zdaje tłumaczona pod nadzorem Akademji Nauk w Krakowie, gdzie mowa jest o kwaterunku ciągłym i *dorywczym* i o *pojemności* lokalów na kwatery przeznaczonych. Nic więc dziwnego, że jeden urząd gminny zapytany o informację w tej materji, tak odpowiedział: „Donosi zwierzchność gminy względem co do stałego kwaterunku, że znajdują się koszary, w których to i stajniach, zawsze jest zakwaterowana cała szwadrona ze swymi końmi, oraz ze wszystkimi tej szwadrony pp. oficerami tak, że ani jedna głowa wojskowa, ani też jeden koń w mieście nie znajduje się zakwaterowany nigdy." Szanowny panie burmistrzu tego miasta, śmiemy cię zapytać, gdzie też twoja polska głowa była wtedy zakwaterowaną, kiedyś swój raport w ten sposób stylizował? Przykład idzie z góry, i jeżeli władze wyższe nie zaczną dbać więcej o czystość języka, będącego głównem znamieniem narodowości, to gdzież taki sekretarz magistratu lub gminy szukać będzie wzorów stylu urzędowego?

Zawiązane poufne kółko literackie, któremu szanowny Jubilat Kraszewski poruczył wygotowanie projektu statutów dla przyszłej Macierzy Polskiej, gorliwie zajmuje się tą sprawą. Fundasz na ten cel przeznaczony wynosi obecnie 12.000 Rs., a pan Kraszewski ma nadzieję, że w tym roku dojdzie do 32.000 Rs. Jest to już tak poważna suma, że z nią, wątpić nie można o powodzeniu przyszłej Macierzy, której zadaniem będzie oświecać, nauczać i umoralniać lud nasz we wszystkich dzielnicach dawnej Polski. — Szczęść Boże! Redakcja naszego pisma, pragnąc obznajmić czytającą publiczność z tego rodzaju instytucjami w Czechach, Kroacji, Serbji i w ogóle w Słowiańszczyznie zachodniej, podawać będzie artykuły, dające obraz dotychczasowej działalności tych Matic, tudzież rezultatów, jakie dla pomyślności i rozwoju umysłowego tych krajów przyniosły.

* * *

W kraju naszym ciągle obserwować możemy jedno zjawisko. Kwestje społeczne pojawiające się na Zachodzie szybko do nas przystęp znajdują. W momencie z zapałem wszyscy się do nich rzucają, dziennikarstwo zapał ten podnieca — do rzeczy biorą się z gorączką, lecz, po kilku próbach praktycznego zastosowania, wraca wszystko na dawne tory, i potem zapomina się najzupełniej o tem, co poprzednio zdawało się być tak przyswojonem, jakby było codzienną potrzebą. Tak było i ze sprawą pracy kobiet. A któż się u nas nią obecnie zajmuje? Kilkadziesiąt pań związanych w Stowarzyszenie gorliwie ślęczy nad tem, aby młodym towarzyszkom biednym dać sposobność uczciwego zarobku — reszta dam inteligentnych nietylko. że się nie przyczynia, ale nawet daje upadać zakładowi szycia bielizny przy Stowarzyszeniu istniejącemu. Dla zacnej pracy, dla rąk, które zamiast brnąć w błocie, usilną pracą chleb sobie zdobywają, nie można we Lwowie znaleść dosyć zajęcia! Dziwna to rzecz i smutna, bo przypomnijmy sobie, jakież ta sprawa zajęcie budziła w całej Polsce przed kilku zaledwie laty. Panie pisywały po dziennikach gorące rozprawy, literaci wtórowali im sentymentalnemi artykułami, wytworzył się nawet pewien osobny rodzaj poezji, w której szwaczka i igła były głównemi opisywanemi przedmiotami. Zapomniano już o tem wszystkiem! To też prawdziwe uznanie należy się tym z pań naszych, które ówczesnego ruchu nie uważały za modę, które wytrwały dotąd w swych zamiarach i których obojętność ogólna nie zraża do niewdzięcznej pracy. Niestety niezbyt wiele takich mamy, jak o tem przekonało walne zgromadzenie Stowarzyszenia pracy kobiet, z dnia 15. b. miesiąca.

Przewodniczącą była Hr. Dzieduszycka, która na sekretarkę powołała pannę Helenę Jordan. Nastąpiło odczytanie sprawozdania z czynności pełnomocnego Zarządu przez rok ubiegły. Z zestawienia prac w roku wykonanych, tryskała prawda bijąca w oczy, że stowarzyszenie to jest potrzebą konieczną, o której zapominać nie należy. Do szkół różnych fachowych uczennice garnęły się jak na nasze stosunki dosyć licznie. Szkoła szycia i kroju bielizny miała 92 uczennic, krawiectwo 30, robót maszynowych 6. Razem 148 było w zakładzie. Pracownia szycia białego. o której wyżej mowa, naraziła Stowarzyszenie na dość dotkliwe straty. Trzeba było dopłacić 200 złr. z funduszów stowarzyszenia. Panie sprowadzające balowe suknie z Paryża nie mogły znaleść dosyć drobnej pracy dla lwowskich pracownic stowarzyszonych, aby ten deficyt pokryć mogły. Ponieważ straty te perjodycznie się po-

wtarzają, więc pani Weberowa, zabrawszy głos, żądała stanowczo natychmiastowego zamknięcia tej pracowni. Radziła aby natomiast zaprowadzono roboty kwiatów. Przeciwko temu wystąpiła pani Szczepańska, argumentując za utrzymaniem pracowni w ten sposób, iż jej zwinięcie pozbawiłoby 30 robotnic chleba i odjęłoby 1600 złr. rocznego zarobku klasom najbiedniejszym. Trochę więc poparcia ze strony publiczności a niedobór zostanie pokrytym.

Dotąd coroczne zgromadzenia odbywały się prawie milcząco, w sali ratuszowej, w obec pełnych galerji; tym razem w klasie szkoły wydziałowej, nasze panie czując się swobodniejsze, dowiodły żywą w tym przedmiocie dyskusją, że im również na sercu leży stan funduszu stowarzyszenia jak i los biednych robotnic. Stawiano rozmaite wnioski, które miały na celu rozszerzenie zakresu pracy kobiet, jak wprowadzenie nauki kwiatów, introligatorstwa, drukarstwa i t. p. Zgodzono się w końcu na wniosek Dr. Zbyszewskiego pozostawić rostrzygnienie tej sprawy Radzie Zawiadowczej. — Dowiedzieliśmy się dalej ze sprawozdania, że zakład utrzymuje biuro wywiadowcze dla nauczycielek i bon; kasę zaliczkową, która kilkaset zł. rocznie, najbiedniejszym członkom wypożycza na bardzo małe procenta, dalej, że dla uczennic szkół fachowych, zakład utrzymuje szkółkę powtarzającą; że stowarzyszenie ma własną biblioteczkę, z której r. z. przeszło 800 dzieł wypożyczono tak pracownicom jak i uczennicom. — Po odczytaniu bilansu udzieliło Zgromadzenie Zarządowi absolutorjum, i wybrało na r. 1880 do komisji kontrolującej panią Skałkowskę, Dr. Zbyszewskiego i p. Zimę. W skład Rady Zawiadowczej, która składa się z 24 członków, weszły nowowybrane: Hr. Kalinowska, pp. Chądzyńska, Szemelowska, Burzyńska i Gostkowska.

* * *

Nie donosiliśmy dotąd nic o zawiązaniu Spójni, stowarzyszenia, którego celem jest wyzwolenie naszego przemysłu i rękodzieł z pod ucisku zagranicy i obcych żywiołów, tudzież obudzenie żywszego ruchu na tem polu. Obecnie zanotować możemy, że Towarzystwo to, któremu wielu nie prorokowało długiego istnienia, rozwija się pożytecznie. Od miesiąca wychodzi pod redakcją p. Fr. X. Martynowskiego ozdobny dwutygodnik p. t. „Spójnia,“ będący organem Stowarzyszenia, liczącego co raz więcej członków. Okazały się nawet pewne praktyczne objawy działalności Towarzystwa. Jak nam bowiem mówiono, w ostatnich czasach zgłosiło się do wydziału kilka osób, które chciały ofiarować pewien kapitał na założenie, czyli też rozwinięcie pewnych gałęzi przemysłu pod warunkiem, że się znajdzie fachowy kierownik. Towarzystwo, które ma wcale inne cele, nie przyjęło, rzecz oczywista tych ofert, ale sam objaw ten jest poniekąd pocieszającym dowodem, że i na tem polu ruch żywszy i pewne zainteresowanie obudzać się poczyna, chociaż zwrot kapitałów w tym kierunku jest całkiem naturalny w obec wysokiego kursu papierów i akcyj, ogólnego wycofania kapitałów z obrotu i zniżonego procentu od gotówki w bankach.

* * *

Benefis panny Wisnowskiej odbył się przy rozprzedanej orkiestrze i zapalonym żyrandolu. Dawano „Śmierć cywilną“ dramat Giacommettiego, który niezręcznie w polskim przekładzie nazwanym został: „Skazany na całe życie“. Tytuł taki trąci staroświeccczyzną i brakowało mu tylko jeszcze dłuższego dodatku poprzedzonego przez „czyli“ jak n. p. „Malwina *czyli* domyślność serca.“ „La morte civile“ należy do nowoczesnych sensacyjnych dramatów, zajmujących stanowisko pośrednie między melodramatem a rzeczą serjo; jak wszystko prawie co Giacommetti robił, dramat ten odznacza się zdrową tendencją i intryga jest w nim tak zajmującą, że słuchacz pilnie śledzi każdego ruchu na scenie, od początku do końca sztuki. Giacommetti pisał swe dramaty zwykle mając na myśli popisową rolę. Był to autor dramatyczny najmowany przez dyrektorów teatrów włoskich za tyle a tyle lirów rocznie, w zamian czego obowiązywał się dostarczzć tyle a tyle dramatów. Był przybocznym dramatopisarzem kilku trup i większość życia swego, aż do roku 1862 przepędził na wędrówkach z jednego miasteczka Italji do drugiego razem z dyrektorami teatru. Nieraz zmuszano go kontraktowo do wykończenia obiecanego dramatu w paru tygodniach. Naturalnie, że musiał w ten sposób oddawać robotę niewykończoną wskutek pospiechu i wiele też dzieł dramatycznych Giacommetiego należy do rzeczy bardzo miernych. W życiu swojem napisał przeszło 80 dramatów i komedji. Wybierał sobie zwykle temata szarpiące nerwami publiczności. Najlepszym jego dramatem jest „Marja Antoinetta.“ *La morte civile* nie należy do najlepszych i zjednało sobie sławę dzięki głównie Rossiemu, który z rolą Corrada, ognistego i nieszczęśliwego syna Apeninów, objeżdżał Europę. Sztuka ta napisana jest właśnie w celu dania pola do popisu dla artysty dramatycznego. Nagromadzone tam są efekta najrozmaitszego rodzaju, kończące się śmiercią przez zażycie trucizny. Od drugiego aktu począwszy Corrado nie schodzi prawie ze sceny i przechodzić musi na scenie najokropniejsze kolizje, walki moralne i przyjmować najróżnorodniejsze pozycje.

Rolę Corrada oddał przepysznie pan Ładnowski. Jest ona jakby stworzoną dla niego. Miał tam chwile tak piękne, że słuchaliśmy go zatamowawszy oddech w piersiach. O jedną tylko rzecz prosilibyśmy szanownego artystę, by się starał unikać zbyt wielkiej ilości głośnych oddechów, które mogą w małej dozie użyte, zrobić efekta w odpowiedniem miejscu, lecz *à la longue* nużą jednostajnością. Jestto jak zauważyliśmy mała wada, która właściwą jest, i to nawet w wyższym jeszcze stopniu pani Modrzejewskiej. Benefisantka wywiązała się ze swej roli dobrze jak zwykle. Ciągle powtarzać musimy to „jak zwykle“, gdy mowa o pannie Wisnowskiej, bo rzecz dziwna, od pierwszych kroków, które zaczęła stawiać na scenie, jest ciągle tą samą. Nie widać wcale zmiany ku gorszemu, ale też i postęp nie jest zbyt wielkim. Jest dobrą artystką, śmiałą na scenie, przytomną, umie dobrze role, lecz na tem koniec. Przypominamy, że drabina, która na podobieństwo owej innej ze snu Jakubowego, prowadzi z poziomu do szczytów artyzmu, jest bardzo długą i trzeba szybko piąć się po szczeblach, żeby być blisko wierzchołka, oraz trzeba mieć siłę po temu, żeby ten wyścig pospieszny wytrzymać. *Excelsior!* powinno być hasłem każdego artysty.

* * *

Chór Tow. muzycznego zasłużył się już niemało publiczności i — co ważniejsza — muzyce. Przed zorganizowaniem się jego rzadko mieliśmy sposobność usłyszenia jakiejś większej kompozycji ensemblowej. Popisy wirtuozów przeuczonych i niedouczonych dyletantów już się nam znudziły, chór Tow. muzycznego już drugi rok pozwala nam słuchać prawdziwych arcydzieł. W tym roku rozkoszowaliśmy się prawdziwie na prawdziwie wybornie wykonanym, tak pod względem orkiestralnym, jak wokalnym „poemacie muzycznym Felicjana Dawida „Puszcza.“ Jest to dzieło pełne fantazji poetycznej i pełne wspaniałych obrazów. Instrumentacja odznacza się i oryginalnością i umiejętnością użycia efektu. W burzy słychać tony pełne grozy, w malowaniu piękności natury jest i melancholja marzyciela i podziw artysty czującego głęboko głosy, jakiemi przemawia przyroda. Cała kompozycja wielkie w umyśle zostawia wrażenie.

„Puszcza“ była głównym punktem programu piątkowego koncertu, oprócz niej wykonano kilka mniejszych kompozycyj. Oprócz znanego chóru Mikulego do „Mnicha,“ zwróciła powszechną uwagę pełna charakteru dumka na chór p. t. „Nasza Hanka“ Wł. Zeleńskiego.

* * *

W poniedziałek przybędzie miastu naszemu nowa ozdoba. W dniu tym p. Tadeusz Błotnicki zamierza ustawić na studni przy placu Halickim stojącej, a otoczonej gustownym skwerem, swoją „Świteziankę“, ukończoną właśnie teraz według modelu zrobionego jeszcze przed rokiem w Wiedniu. Figura nagiej kobiety, przepasanej z lekka draperją, wysokości przenoszącej znacznie wzrost człowieka, wykuta jest z kamienia wapiennego włoskiego, który nie łatwo ulega wpływom powietrza; rzeźba wykonana ze znajomością rzeczy, podniesienie ręki lewej w górę ma wiele wdzięku, cały ruch ciała oddany z prawdą i pewnym smakiem, który świadczy o talencie i wykształceniu rzeźbiarza. Około stóp czarodziejki wije się wodna flora, wśród której zwracają uwagę pięknie wykonane „cazy“, kwiaty przekopiowane wprost z ballady Mickiewicza. Rury wytryskowe pochwycą w otwarte usta „maskarony“, wykonane z gustem również przez twórcę Switezianki.

* * *

Od jednego z prenumeratorów otrzymaliśmy list, oskarżający nasze dziennikarstwo o nieoględne powtarzanie bezpodstawnych wiadomości. Przytoczono tam fakt, że gdy miesiąc temu aresztowano w Wiedniu młodego Polaka, a pisma wiedeńskie opisały go jako najskrajniejszego nihilistę, to dzienniki nasze wiadomość tę natychmiast powtórzyły, nie zastanowiwszy się, że młody ów człowiek może być niewinny, że zresztą może mieć w Kongresówce rodzinę, która przez to będzie narażoną na niebezpieczeństwo.

Cóż na to odpowiedzieć mamy? Oto że szanowny autor listu ma słuszność, bo jakkolwiek władze moskiewskie mogą czerpać tego rodzaju wiadomości wprost z gazet niemieckich, to wszakże my nie powinniśmy przykładać do tego ręki. Zresztą najbardziej dla dziennikarstwa powinna być świętą zasada: że w rozpowszechnianiu potępiających doniesień, należy być nadzwyczaj oględnym.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

(Kornel Ujejski, Obrazki dramatyczne: „Smok siarczysty, w dwóch częściach, I. Precz, II. Smok swatem. Lwów 1880)

Książka pod powyższym tytułem od kilku miesięcy już znajduje się w ręku publiczności, ale mimo to, że publikacja ta winna była powszechną na siebie zwrócić uwagę, dotąd żadne pismo polskie nie wypowiedziało o niej swego zdania. Powodem tego długiego milczenia jest zapewne obawa, która ogarnia niejednego, gdy ma wypowiedzieć ocenę dzieła znakomitego pisarza, którego opinja postawiła na pewnej wyżynie, na piedestale, o którego podstawy nie wolno ostrzyć pióro lekkomyślne Zoila. Nie ukrywamy bynajmniej, że i nas niemniej taka sama napada „trema“ w tej chwili, lecz, *alea jacta est*, cofnąć się już nie wolno, a więc...

Ujejski należy do plejady wielkich poetów naszych. Jego „Skargi Jeremiego“ są w literaturze naszej dziełem stanowiącem epokę. Odbiło się w nich całe cierpienie i ból ujarzmionego narodu taką potęgą i siłą tonów, w jakie nikt przed nim i nikt po nim nie był w stanie uderzyć. Wspaniały „Chorał“ stał się pieśnią narodową, stał się najwyższym wyrazem tych wszystkich mąk i bolów, przez jakie musiał przechodzić naród w ostatnim wieku swego żywota. Autor „Skarg“ zajął od razu pierwszorzędne stanowisko w dziejach poezji polskiej, bo jeżeli w szczegółach utwory jego najwięcej mają pokrewieństwa duchowego z poematami Wiktora Hugo, jeżeli nie ustępują im ani pod względem potęgi wyrażenia, ani siły kolorytu i obrazowania, to przewyższają je siłą wiary, która w natchnionym twórcy „Samsona“ i „Melodji biblijnych“ zadziwia czystością uczuć i podniosłością myśli i kapłańskiem iście namaszczeniem poety.

Były to niejako prorocze pienia poety, ciąg dalszy posłannictwa włożonego na jego barki przez opatrzność dziejową, która mu kazała być pocieszeniem i gwiazdą betlejemską nadziei po tylu przygniatających klęskach narodowych. Wyśpiewawszy te pieśni umilkł poeta i czas długi daremnie czekaliśmy na głos jego, jak na głos dzwonu lejącego uspokojenie i nadzieję w piersi. Poeta milczał, od czasu do czasu rzucił tylko błyskawiczne słowo w mowach swoich, ale nie pisał nic, a daremnie i krytyka i głos publiczny domagały się chociażby dokończenia „Samsona“. Poeta milczał uparcie, aż do tej chwili, w której nakoniec pojawiły się dwa skromnie zatytułowane poemata dramatyczne, stanowiące razem jedną całość.

Oba te „Obrazki“ są istotnie jedną całością, chociaż różnią się one od siebie znacznie i kolorytem i pojęciem postaci, które w dalszem rozwinięciu sytuacji wyrastają dopiero na to, czem od początku były w myśli poety — na bohaterów.

Część pierwsza poematu pt. „Precz“ jest drobnym obrazkiem rodzajowym, powiedzielibyśmy prawie, sielanką, gdyby nie koloryt zbyt realistyczny, przeważający w niektórych postaciach (Alfred, Włóczęga), i gdyby nie ostatni krótki, ale pełen znaczenia monolog Celiny, który nam zapowiada w niej jakąś postać potężną, niezwykłej miary.

I w istocie, w drugiej części, złożonej z dwóch aktów, a zatytułowanej „Smok Swatem“ wcale odmienne słychać już tony; cofają się po za kulisy zwyczajne, codzienne charaktery (Alfred, Majorowa) a występują na przód sceny na wskróś dramatyczne, idealne, prawie, że nie powiemy, klasyczne postacie: Zygmunt, Celina, Major, Władysław i urocza, pełna poetycznego wdzięku i świeżości postać wiejskiej dziewczyny Hanki.

Ów włóczęga, którego przeszłość opowiedziana w kilku jędrnych słowach i sposób odezwania się do Alfreda już w pierwszym akcie, przepraszamy, w pierwszej części, zapowiadały niezwykły charakter, wyrasta w tych dwóch aktach ostatnich na głównego bohatera dramatu, który całą intrygę przeprowadza w sposób prawdziwie bohaterski stawiając siebie na kartę. Do tej miary olbrzymiej Władysława, dorasta jednak i reszta charakterów, a zwłaszcza też idealna para kochanków — Celina i Zygmunt. Jch miłość gorąca, wzniosła i szlachetna, przenosi nas w czasy najbardziej podniosłe romantyzmu, w ich dykcji słychać tony znane z pieśni trubadurów, a dźwięki te choć dla nas tak obce dzisiaj, niepsują harmonji w dramacie, owszem z głosami reszty godzą się i w jeden czarowny zlewają się akord. Jest w tym akordzie coś dziwnie uroczystego, coś, co podnosi ducha i budzi go z tej apatji, w którą powszedniość życia dzisiejszego go pogrąża i rzewne w sercu budzi uczucia. Scena piąta aż do ostatniej, w których poeta co raz wyższych dobiera tonów na oddanie czystej i wielkiej miłości Celiny i Zygmunta, pozwala zamknąć książkę z prawdziwie rozkosznem wrażeniem. A jeżeli te trzy ostatnie sceny i kilka innych w drugim i na początku trzeciego aktu przypominają nam siłą wyrażenia i podniosłością dykcji najlepsze utwory Ujejskiego, wiersz Zygmunta (w scenie piątej), który można by zatytułować „Chce Bóg mieć ze mnie anioła“ przywodzi na pamięć mimowoli dawniejsze wiersze liryczne autora „Zwiędłych liści“, w których tyle uczucia i melancholji, i tyle rytnicznego wdzięku, ile w smętnym mazurku Szopena.

„Smok siarczysty“ jest po części obrazkiem tendencyjnym; widać w nim chęć zrehabilitowania tych, co krew swoją nieśli na usługi ojczyzny, a których pewna partja obecnie stara się poniżyć, bo i na powstanie samo pragnie wieczyste rzucić anatema. Z tego punktu widzenia „Obrazki dramatyczne“ Ujejskiego mogłyby się wydać poematem okolicznościowym, ale o ile pojedyńcze wzmianki o „szlachetnej denuncjacji“ i t. p. wcale nie szkodzą całości poematu, o tyle znowu treść jego głębiej dotykająca naszego społeczeństwa i stawiająca mu przed oczy prawdziwe ideały powinna zapewnić „obrazkom dramatycznym“ to wzięcie i powodzenie, jakie się dziełom genjuszu poetycznego należy. Nie potrzebujemy im tego życzyć, wiemy o tem z pewnością, bo wierzymy, że nie zamarło jeszcze uwielbienie dla prawdziwej poezji.

B. S.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Cztery odczyty, wypowiedziane w Warszawie przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, p. t.- „Rys historji i filozofji“, w niedługim czasie ukażą się w druku.

*** Donoszą nam, że pan Henryk Sienkiewicz (Litwos) zamierza wkrótce wystąpić z odczytem w Lublinie.

*** Pan Jerzy Harwot napisał rzecz o szkolnych kasach oszczędności ze stanowiska pedagogiki i ekonomii społecznej. Rozprawa ta, drukowana w „Szkole“, wyszła obecnie w oddzielnej odbitce.

*** W handlu księgarskim ukazała się zajmująca powieść Maurycego Jokaja p. t.: „Raz się tylko kocha“.

Opuściła też prasę powieść przełożona z francuskiego p. t.: „Małżeństwo księcia“.

*** Nakładem A. Hartlebena w Wiedniu ukazała się w przekładzie niemieckim, dokonanym przez pana Ch. del Negro, znana powieść Kraszewskiego „Hrabina Kosel“.

Wydawcy że szczególniejszą starannością i wielkiem uznaniem dla Jubilata zabrali się do rozpowszechnienia pomiędzy publicznością niemiecką tego dzieła, oddając mu w prospekcie należne pochwały.

*** Szwajcarski zakon Benedyktynów, znany ze swych licznych prac, postanowił założenie dziennika. Będzie on organem wszystkich Benedyktynów rozproszonych po klasztorach w Austrji, Włoszech i Hiszpanji. Dziennik redagowany być ma po niemiecku i po łacinie, a pierwszy numer ukaże się w rocznicę urodzin św. Benedykta.

*** „Ateneum“ w zeszycie za m. marzec zawiera: I. Wołanie nieobecnych. II. Szalona. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. III. Obyczaje ekonomiczne we Francji. Przemysł i wyrobnicy, przez dra Kazimierza Waliszewskiego. IV. W Walhalli, przez Bogumiła Aspisa V. Polska i Polacy w poezji ludowej Słowian Zadunajskich, przez Al. Jabłonowskiego. VI. Narodowość i prawo publiczne dra Ludwika Gumplowicza, przez Karola Dunina. VII. Powieści historyczne J. I. Kraszewskiego, przez A. Tyszyńskiego. VII. Rozbiory i sprawozdania:

a) Rozbiór krytyczny pieśni „Bogarodzica“, napisał dr. Antoni Kalina.

b) Mikołaj Biernacki (M. Rodoć), Piosnki i Satyry, przez Piotra Chmielowskiego.

c) Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, przez E. Calliera. IX. Kronika miesięczna. X. Ogłoszenia.

*** Nr. 11. „Gazety rolniczej“ zawiera:

1. W sprawie księgosuszu w północno-zachodnich gubernjach, przez Al. Jelskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, przez dra Juljana Au. 3. Ocenianie nasion, napisał dr. A. Sempołowski. 4. Listy o owczarstwie, przez Wacława Łuszczewskiego. 5. Jak tępić chomiki. 6. Listy z Poznańskiego, przez Ryszarda. 7. Przegląd polityczny. 8. Wiadomości bieżące. 9. Rozmaitości. 10. Bibljografja i krytyka. 11. Kurjer rolniczy. 12. Odcinek zawiera: Listy starego weterana, przez Wiarusa z Zaścianka.

Sztuki piękne.

*** Najnowszy obraz Matejki został w Warszawie wystawiony w salonie Ungra.

Przedstawia on „Zjazd królów Jagiellonów z cesarzem Maxymiljanem pod Wiedniem r. 1515.“

Obraz ten malowany jest na drzewie — długość jego wynosi 93 centymetrów, wysokość 60 cent.

Matejko dawno się nosił z planem do tej rzeczy — stworzył ją wszakże dopiero w roku zeszłym, w jesieni, w majątku swoim w Krzesławicach

Celem dokładniejszego przypomnienia historycznego momentu, obok obrazu znajdować się będzie objaśnienie, pióra pana Gorzkowskiego, sekretarza Matejki.

*** Brandt nie zdoła wykończyć swego „Jarmarku w Bałcie“ do paryskiego „Salonu“.

Płótno to będzie miało niezwykłą wartość — dziś już „kunsthändlerzy“ berlińscy ofiarują zań wysokie sumy.

*** Umieszczona na wystawie w Warszawie „Goplana “Pileckiego“ znalazła nabywcę.

Jest nim pewien właściciel dóbr ziemskich z Poznańskiego.

Nowonabywca zamierza „Goplanę“, wraz z innemi cennemi płótnami znajdującemi się w Prusiech zachodnich, wystawić w Toruniu publicznie.

*** Paryzka akademja sztuk pięknych, w miejsce zmarłego Montelivet, powołała na członka p. Barbet de Jony.

*** Henryk Wieniawski — według gazet moskiewskich — ma się już znacznie lepiej i wkrótce będzie mógł opuścić szpital w Moskwie, gdzie tak niespodzianie zaskoczyła go ciężka niemoc.

Uda on się na południe dla odzyskania sił.

Jednakowoż według zdania lekarzy, rekonwalescencja potrwa dosyć długo i znakomity nasz artysta nie będzie mógł przez ten czas oddawać się swej sztuce.

*** Podczas uroczystości 50-letniej rocznicy ogłoszenia niepodległości Belgji, ma być urządzony w dniach 25. i 26. lipca, oraz 8 i 9 sierpnia r. b. wielki międzynarodowy konkurs muzyczny. W konkursie mogą brać udział chóry śpiewu, kapele wojskowe i cywilne, tak krajowe, jak zagraniczne. Ustanowione zostały nagrody, a mianowicie medale w wartości od 100—200 franków z premiami od 100 do 1100 franków. Wielką międzynarodową nagrodę stanowić będzie medal królewski i premja 4000 franków.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Redaktor Słownika geograficznego ogłasza w pismach warszawskich list następujący:

Z wiarogodnego źródła zasięgnąwszy wiadomość pospieszam donieść, że wszelkie pogłoski o bliskiem przejściu Pieskowej skały w ręce niemieckie są błędne.

Dzisiejszy dziedzic tych dóbr i zamku nie ma nawet zamiaru pozbywania się swojej posiadłości; oglądał tę majętność książę Sapieha, ale nawet do układów o sprzedaż nie przyszło.

Pogłoskę o przejściu w ręce niemieckie kolportował jeden ze spekulantów Niemców, który istotnie ma chętkę na Pieskową skałę i sądził, że przez rozgłoszenie tej wieści nakłoni hrabiego M. do sprzedaży.

Filip Sulimierski.

*** Wychodźtwo z Poznańskiego i Prus zachodnich znów się wzmogło w ostatnich czasach. Według zestawień urzędowych, głównie udają się za morze wyrobnicy i służący, zachęcani listami swych krewnych w Ameryce przemieszkujących. Władze miejscowe robią starania w celu zapobieżenia wychodźtwu. Jednym z powodów opuszczania miejsc rodzinnych ma też być chęć uwolnienia się od powinności wojskowych.

*** Z okolic Brüsau i Trübau w Szwajcarji udaje się w tych dniach do Ohio dziewięćdziesiąt rodzin, które posiadają majątku blizko miljon; biorą one z sobą wielu robotników i rękodzielników, za których poniosą koszta podróży.

*** Przepowiednie na lata 1880 — 1885.

Opierając się na spostrzeżeniach astronomicznych, gazeta „Newfoundland Chronicle" podaje ciekawe przepowiednie na lata 1880—1885.

Astronomowie więc, którzy obserwowali ostatnie zaćmienia słońca, zgadzają się, jak twierdzi owa gazeta, że zaszły na słońcu zmiany, ktore nie pozostaną bez wpływu na naszego planetę.

Otóż w ciągu ostatnich czterech lat obserwowano na słońcu plamy, z których wnioskować można o zmniejszeniu się ciepła słonecznego

Odnośnie do ziemi, skutek ma być jednak wprost przeciwny, spodziewać się bowiem należy zwiększenia upałów.

Przyczyną tego ma być, że skutkiem osłabienia słońca, zrzedną gazy osłaniające ziemię, a w takim razie da się uczuć żar słoneczny...

Oprócz tego w ciągu przyszłego pięciolecia po raz pierwszy od 2000 lat mają się znaleźć w pobliżu ziemi cztery wielkie planety: Jowisz, Uranus, Saturn i Neptun.

Z powodu tego zdrowie i życie mieszkańców ziemi zostaje narażone na ciężkie próby.

Wniosek ten oparty jest na twierdzeniu dra Krapa, że zazwyczaj zbliżaniu się ku ziemi jednej lub więcej planet towarzyszą silne epidemje, jak to było w wieku VI i XVI.

O ile przepowiednie te są uzasadnione, stanowczo twierdzić nie można.

Zdaje się jednak że spodziewane zbliżenie się planet nie pozostanie bez poważniejszego wpływu na zmiany w temperaturze i atmosferze ziemi.

MÓJ ZEGAREK.

POUCZAJĄCA HISTORYJKA

przez

Marka Twain'a.

Ładny nowy mój zegarek szedł przez półtora roku bardzo dobrze: nie spieszył się, ani późnił, żadna część maszynerji nie psuła się i w równym swym chodzie nigdy się nie zacinał. Nabyłem wreszcie przeświadczenia o jego talencie oznaczania czasu i godziny w sposób nieomylny, a przymioty jego korpusu i powłoki uważałem za wiecznie trwałe.

Ale pewnego wieczoru upuściłem go niechcący. Przypadek ten zaraz mi się wydał niedwuznacznym zwiastunem i poprzednikiem nieszczęścia. Jednak rozweseliłem się powoli, nastawiłem zegarek na chybił trafił i starałem się odpędzić zabobonne obawy.

Następnego dnia wstąpiłem do sklepu pierwszego zegarmistrza, aby dokładnie naregulować zegarek. Sam majster wziął mi go z ręki i jął się regulowania. Potem wyrzekł: «Spóźnia się o cztery minuty: — regulator musi być posunięty na awans».

Próbowałem go powstrzymać, dając do zrozumienia, że zegarek idzie całkiem regularnie. Ale gdzież tam; kapuściana ta głowa w ludzkich kształtach mogła tylko to spostrzedz, że zegarek spóźniał się o cztery minuty i regulator musiał być trochę posunięty, — i dopuścił się tego haniebnego czynu bezwzględnie i okrutnie, a ja tymczasem skakałem trwożnie koło niego, błagając, aby dał spokój zegarkowi. —

Zegarek mój zaczął się spieszyć... Z każdym dniem biegł szybciej... W pierwszym tygodniu dostał silnej gorączki, a puls jego uderzał »w cieniu» do stu piędziesięciu razy na minutę. Po upływie dwóch miesięcy prześcignął on wszystkie «czasomierze» w mieście i biegł, prawie o trzydzieści dni wyprzedzając kalendarz. Znajdował się prawie w listopadzie i cieszył się widokiem śniegu, gdy jeszcze szumiały liście październikowym poruszane wiatrem. Przybliżał on termin opłaty mieszkania, rachunków rocznych i tym podobnych rzeczy w sposób tak szybko wiodący do ruiny, że nie mogłem spokojnie na to patrzeć dłużej.

Zaniosłem go do zegarmistrza, aby dać do uregulowania. Zapytał mię, czy dawałem go już kiedy do naprawy. Wypierałem się, mówiąc, iż nigdy nie potrzebował reperacji. — Złośliwe ukontentowanie świeciło z oczu zegarmistrza; otworzył pospiesznie zegarek, umieścił małą lupę przed okiem i zajrzał do wnętrza maszynerji. Powiedział, że musi być wyczyszczony i nasmarowany, a oprócz tego uregulowany, mogłem go odebrać dopiero za tydzień.

Po wyczyszczeniu, nasmarowaniu i uregulowaniu, zegarek szedł do tego stopnia powoli, że tykał tak, jak zegary wieżowe. Zacząłem spóźniać sie do pociągu, przybywałem po niewczasie na wszystkie posiedzenia i opuszczałem obiady; zegarek mój przedłużał trzy dnie «rezerwowe» do czterech, i zmusił do protestowania mego wekslu; zwolna odpływałem ku dniowi wczorajszemu, potem ku przedwczorajszemu, potem do przeszłego tygodnia; stopniowo dochodziłem do przekonania, że sam jeden żyję w pozaprzeszłym tygodniu, i straciłem świat z oczu. —

Zdawało mi się, iż czuję pewien rodzaj towarzyskiego współczucia dla mumji w muzeach; pragnąłem pogadać z nimi o nowinach...

Znowu udałem się do zegarmistrza.

Gdy czekałem stojąc, on tymczasem rozebrał zegarek, i wyrzekł: «cylinder nabrzmiały». Zapewniał, że za trzy dni będzie mógł go zmniejszyć do zwykłej objętości. Po takiej operacji zegarek szedł «przecięciowo» dobrze; ale nic więcej. —

Pół dnia szedł, jak uosobiona złośliwość; tak szczekał, pokaszliwał, kichał, sapał i chrapał, iż z powodu tego zamieszania nic nawet myśleć nie mogłem; w tym względzie ani jeden zegar w całym kraju nie mógłby mu wyrównać.

Resztę dnia późnił się i marnował czas aż dopóki zegary, które był powyprzedzał znowu go nie dopędziły. Nareszcie po upływie 24 godzin znajdował się akuratnie na swojem miejscu w oznaczonej porze. W ogólności wskazywał prawdziwą godzinę «przeciętnie», więc nikt nie mógł by mu zarzucić niespełnienia obowiązku. Jednak należy powątpiewać o zaletach zegarka, który wskazuje czas tylko z przeciętną akuratnością. Znowu więc poniosłem ów instrument do innego zegarmistrza. Ten powiedział, że pióro złamane. Odrzekłem: «cieszę się, jeżeli nic gorszego się nie stało». Prawdę mówiąc, nie miałem wyobrażenia o tem, co jest pióro, ale nie chciałem zdradzać mej niewiadomości przed obcym. — Naprawił on pióro, ale co zegarek w jednym względzie zyskał, to stracił w innym. Szedł minutę, a potem stał minutę, potem znowu szedł minutę, i tak dalej, wybierając przestanki z zupełną dowolnością. A za każdym razem, gdy już szedł na dobre, dawał się słyszeć wystrzał, nibyz karabinu. Parę dni watowałem sobie ubranie na piersiach, a nareszcie zaniosłem zegarek do innego zegarmistrza. Ten rozłożył go na drobniutkie kawałki, a potem obracał owe szczątki pod szkłem w jedną i drugą stronę; nakoniec rzekł, iż jak się zdaje sprężyna zepsuta. Wyreperował sprężynę i wprawił w ruch zegarek, który już teraz dobrze pełnił swoją czynność, z wyjątkiem iż co dziesięć minut skazówki schodziły się niby nożyczki, i od tego czasu maszerowały razem. Najstarszy człowiek na świecie nie potrafił by określić za pomocą takiego zegarka, gdzie łeb a gdzie ogon dnia... I tak raz jeszcze musiałem oddać tę sztukę da naprawy.

Osobistość do ktorej się udałem orzekła, że kryształ zgięty, i łańcuszek zaplątany. Również mniemała, że część maszynerji powinna być na pół podzelowana. Opatrzył wszystkie te rzeczy, a potem czasomierz mój pracował bez zarzutu, wyjąwszy iż po ośmiu godzinach spokojnej pracy całe jego wnętrze poczynało wydawać szmery, brzęczeć jak pszczoła, a wskazówki kręciły się naokoło z takim pospiechem, że trzeba było powątpiewać o ich tożsamości, bo wydawały się delikatną pajęczyną, rozpiętą na cyferblacie zegara. Uganiały one najbliższe dwadzieścia cztery godzin w przeciągu siedmiu lub sześciu minut, i zatrzymywały się z łoskotem. Ze smutkiem w sercu udałem się raz jeszcze do zegarmistrza i przypatrywałem się, jak on wyciągał z zegarka jedną rzecz po drugiej, potem przygotowałem się do ścisłego zbadania go, bo tu już szło o sprawę brdzo poważną, Zegarek kosztował mię dwieście dollarów, a o ile sobie przypominam za reparacje zapłaciłem dwa do trzech tysięcy.

Czekając i przyglądając się poznałem w zegarmistrzu starego znajomego, byłego maszynistę parostatku (dobrym maszynistą nigdy on nie był). Starannie próbował on różne części przyrządu, zupełnie tak jak inni zegarmistrze, i z takąż samą pewnością siebie wypowiedział swe zdanie:

«Wyrabia on za wiele pary. Pan musisz przymocować klucz śrubowy do wentylatora.»

Na miejscu strzaskałem mu czaszkę i kazałem go pochować na mój rachunek.

Wujaszek mój Wilhelm (obecnie nieboszczyk, niestety) zwykł był mawiać: «Dobry koń jest dobrym, dopóki nie okaleczeje, a dobry zegarek dobrym, dopóki poprawiacze ani razu nie mieli go w rękach. Ale zaraz ze zdziwieniem pytał czem by się wtedy stali wszyscy naprawiacze kotłów, rusznikarze, szewcy i kowale, w razie gdyby się im rzemiosło nie wiodło. Nikt jednak nie umiał mu na to odpowiedzieć.

Od Redakcji.

Z powodu licznych żądań 1-go kwartału Tygodnia Polskiego, zawiadamiamy, że kwartał ten jest już zupełnie wyczerpany. Wskutek tego z ostatnim Numerem Marca ukończymy drukujące się obecnie artykuły i powieści, tak, że z dniem 1 Kwietnia r. b., Tydzień wszystkie artykuły rozpocznie nowe, oprócz powieści Jana Lama p. t. Dziwne Karjery, której zacznie się Tom II-gi.

Wszyscy zaś nowi prenumeratorowie Tygodnia otrzymają 1-szy tom Dziwnych Karjer bezpłatnie, w oddzielnej odbitce.

Treść Nr. 12.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.